N. 46. WARSZAWA d. 6 (18) Listopada 1871 ROKU.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: *w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50.— Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15. —w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwart. złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia Nr. 956* (nowy 6) *dom narożny przy targu.*

Od Redakcji.

Tygodnik Mód i Powieści w roku przyszłym 1872 wychodzić będzie w tym samym jak dotąd formacie, i pod temi samemi warunkami co do obniżenia ceny prenumeracyjnéj. Po ukończeniu drukujących się dwóch powieści J. I. Kraszewskiego i Dickensa, rozpoczniemy nowe oryginalne: p. Elizy Orzeszkowéj, Walerji Marrené (Morzkowskiéj) J. I. Kraszewskiego, J. Zacharjasiewicza, Lisickiego, i innych których współudział mamy stale dla pisma naszego zapewniony. Z powieści tłomaczonych pomieścimy: **Miłość dziewicy** w przekładzie pani Joanny Belejowskiéj, i **Zagadkowe natury** Fr. Spielhagena spolszczonéj przez M. Gliszczyńskiego.

Wszyscy nowi prenumeratorowie dodatki z rozpoczętemi w tym roku powieściami, otrzymają za zgłoszeniem się do Redakcji bezpłatnie.

Cena prenumeraty obniżona wynosi:

W Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50.

Na prowincji tak w Cesarstwie jak Królestwie z przesyłką pocztową:

Kwartalnie	rs. 2 kop. —
Półrocznie	„ 4 „ —
Rocznie	„ 8 „ —

Upraszamy o wyraźne wypisywanie nazwisk i ostatniéj stacji pocztowéj, jak również o przysyłanie należytości wprost do Redakcji pod adresem: do J. K. Gregorowicza Redaktora Tygodnika Mód i Powieści oraz Przyjaciela Dzieci, w Warszawie ulica Żabia Nr. 956 (nowy 6).

CZŁOWIEK ZUBOŻAŁY

OBRAZEK
Z CODZIENNEGO ŻYCIA.

PRZEZ

Jana Prusinowskiego.

„Kiedy drzewo się pochyli,
I kozy nań skaczą..."
Nie daj Boże, dożyć chwili,
By i na mnie — ci skoczyli
Co jak kozy skaczą.....

(ze starego przysłowia).

Nie ma w społeczeństwie człowieka, postawionego w pozycji bardziéj drażliwéj i bolesnéj — jak *człowiek zubożały*!

Człowiek biedny, albo stopniowo dochodzi do zamożności, albo równoważy w sposób jakkolwiek znośny, warunki swojego bytu i korzysta ze stosunków podobnych sobie biedaków. Nie ma po za sobą obfitszéj i jaśniejszéj przeszłości, ale nie staje w obec ludzi, w jakiémś położeniu fałszywém. Stanowisko jego ma pewną normę, a wśród niedostatku nawet fantazja dostarcza mu rojeń o nieznanych rozkoszach lepszego bytu. Brak doświadczenia, nie daje mu przekonać się, że chociaż byłoby mu lepiéj, stokroć lepiéj niżeli jest w chwili obecnéj, zawsze czułby się biednym, upokorzonym wśród tych, którzy stali wyżéj i świetniéj. Chęć nasycenia w człowieku jest nieugaszoną, a grecka Danais, to powszechny symbol pragnień ludzkości!

Człowiek zubożały, pozbawiony jest tego spokoju teraźniejszości i tych ułudzeń fantazji. Surowa prawda nicości tego życia w jego pospolitém pojęciu, staje przed nim w całéj brudnéj nagości. Ironja staje się wyznaniem jego wiary, jedynym wyrazem jego duszy... i w rzadkich tylko wypadkach, wysokiego moralnego i umysłowego wykształcenia, gorzka ta boleść, przechodzi w świętość, koronowaną niegdyś aureolą zbawienia za grobem, a wyzyskiwaną dzisiaj przez spekulantów, za pomocą tanio nabywanych dzieł jego nauki lub sztuki, albo, krwawym potem oblanych usług osobistych.

Jeżeli człowiek zubożały, nie ma na swojéj odpowiedzialności rodziny. a przez to łatwiéj może odpowiedzieć swoim potrzebom, najczęściéj staje się dziwakiem, mizantropem, albo niekiedy rozpija się, a w każdym razie, mniéj jest widzianym, mniéj się musi narażać na zetknięcie z ludźmi, i umiera bez niczyjéj wiedzy i troski, jak w kniei dzikie zwierzę. Chyba właściciel kąta w którym zamrze, albo pachołcy, jeżeli śmierć spotka go na ulicy, uprzątając trupa raz jeszcze przeklną biedaka, który dopiero po śmierci stał się przymusowym przedmiotem wymuszonéj troskliwości, ograniczającéj się na zakopaniu go w ziemi. Gdyby nie *zwyczaj* porządku i przyzwoitości, gdyby nie bojaźń zarazy, niezainteresowałby nikogo i wolnym byłby od pośmiertnéj klątwy.

Takie cierpienie, to nie cierpienie jeszcze! Cierpiąc za samego siebie, możemy się sami z sobą porozumieć. Można wyrobić w sobie usprawiedliwioną wzgardę dla wielu potrzeb i dla wszystkich powabów i przykrości życia. Można te potrzeby ograniczyć do jakiegoś ascetycznego *minimum*, i po kęsie czarnego chleba, własną pracą zdobytego, w opończy kupionéj na tandecie, ale za gotówkę, a nie na kredyt, można siebie uznać za szczęśliwego, a nawet rzeczywiście być szczęśliwszym, od pstrego tłumu powracającego z balu, z teatru, albo z pogrzebu, po którym odbyć się ma stypa, z pozostałości niezjedzonych przez nieboszczyka.

Nie tych więc szczęśliwców mam na względzie. Ale pragnąłbym schwytać wybitniejsze rysy, z życia człowieka zubożałego, który ma na swojéj odpowiedzialności rodzinę, przywykłą do lepszego bytu i któréj wychowanie pierwiastkowe, skierowane było do wyższych szczebli drabiny społecznéj, od tego szczebla, na który bieg wypadków go strącił...

Pierwszym symptomatem zubożenia, jest osamotnienie w domu, i odstrychnięcie się dawnych znajo-

mych za domem. Klamka drzwi jego mogłaby zardzewić, gdyby nie mali kredytorowie, uprzykrzający się o małe dłużki i tandeciarze uprzątający graty i szmaty dawnéj zamożności.

Za domem zaś, jakby otoczony obłokiem niewidzialności, musi przyjść bardzo blisko i przypomnieć się bardzo głośno, żeby go poznano i powitano.

Ludzie, którzy żyli z nim pierwéj na jednéj stopie, wstrzymują się od nawiedzin, żeby go nie rujnować na przyjęcie; wiedząc, że to przyjęcie choćby najskromniejsze, pozbawić go może zasobów utrzymania na dni dwa, trzy albo więcéj. Lękają się przyjmować go u siebie, żeby bardziéj zaniedbany ubiór jego i jego rodziny, nie upokarzał biedaków i nie kompromitował ich samych!

Wspomniałem o najmoralniejszéj niby pobudce. Pomijam niezasłużoną pogardę, fałszywy wstyd i inne podobne względy, dyktowane chłodem, lekkością lub bydlęcością serca. Ludzie zaś w obec których czło wiek zubożały, w czasach swoich kwitnących, był w pozycji jakkolwiek zależnéj, lub protekcyjnéj, radzi uwolnić się od protegowanego, wyglądającego nędzniéj od najlichszego z ich posługaczy.

Zubożenie, przy dzisiejszych warunkach społecznych i ekonomicznych, jest matką wszystkich plag duchowych i cielesnych. Najprzód znikają środki kształcenia umysłu, dziś kosztujące tak drogo! Dzieci zaprzestają się uczyć albo uczą się nie tak i nie tyle jak pierwéj, a skołatani nieszczęściami rodzice, choćby co umieli, wiadomości ich niepodsycane nowemi zdobyczami nauki, słabną i brak energji w udzielaniu ich dzieciom, mniéj ma wpływu na rozwój młodych główek. Niedostatek zaś środków utrzymania, spowodowuje zwykle w zubożonych rodzicach choroby, przechodzące pospolicie w chronizm, a będące częstokroć u ludzi pracy pierwszym, głównym powodem zubożenia.

Mimo to wszystko, człowiek zubożony w imię palących potrzeb rodziny, zmuszony jest szukać ludzi, zmuszony jest nastręczać się dawnym znajomym, protektorom i starym przyjaciołom niby, których karmił i pasł niedawno....

Wejście jego do męzkiego gabinetu, a tem bardziéj do salonu, powoduje zwykle przewlekłą ciszę. Najożywieńsza rozmowa ustaje i oddech chłodu powiewa po całem towarzystwie. Ubiór choćby przyzwoity, ale wyszarzany i zapomnianego kroju, twarz i postać gościa zbiedzona, wygładzona i pospolicie chorobliwa, rażąco odbijają przy najskromniejszych, powszednich nawet strojach ludzi korzystających jakkolwiek z dobrobytu. Jeżeli nawet są w tem kole chorzy i rekonwalescenci, tware ich i ruchy są zdrowsze i rzeźwiejsze, od twarzy i ruchów tego człowieka, wysilającego się żeby chodzić i przedrzeźniać zdrowie.

Gospodarz i gospodyni szukają sposobu zawiązania z nim rozmowy, ale na zapytania odpowiada urwanie, monosylabami. W końcu, po tem zadośćuczynieniu przyzwoitości, czy politowaniu, zwracają się do innych osób.

Przerwana chwilowo rozmowa ogólna wzmaga się, pomimo chodzącego a raczéj ruszającego się trupa, który znieśmielony bardziéj niż obojętny, usiadł gdzieś na uboczu i uporczywe milczenie, przerwie zaledwie przytłumionem westchnieniem lub suchotniczym kaszlem. Przeraził wejściem swojem wszystkich, ale wrażenie to przeszło, i już mija go jak posąg drewniany. Natomiast on, przerażony jest tem wszystkiem co widzi, i temi wszystkiemi których widzi, ale wrażenie jego nie mija, wyniesie je z sobą i długo męczyć się niem będzie. Po cóż przyszedł? Może miał jaką potrzebę do gospodarza domu, jaką prośbę? Może szedł *pożyczyć* kilka złotych na lichą strawę, na lekarstwo, albo na dług doskwierający oddawna.... Lub — może dla podtrzymania mniemanych stosunków, dla zaczepienia się o jaki zarobek, zdecydował się z rozwagą na tę ofiarę..: jak zgłodniały pies chwyta jadło zastawione na stole, chociaż wie że go kijem obiją!

Gorzéj stokroć dla stron obu, jeżeli człowiek zubożony zastanie dawnych swoich znajomych bez gości. Trzeba go znosić, trzeba go czemś zająć, a nie ma środka ocucić go z bezwładności, lub czemś najniewinniéj niezrazić. Jakąż bowiem można zawiązać rozmowę z człowiekiem zubożałym, którego znało się dawniéj w innych warunkach? Najdoświadczeńszy mówca i psycholog, nieznalazłby odpowiedniego przedmiotu. Rozmowa o pogodzie i niepogodzie, będzie za ceremonialną: o nędzy, o chorobach, jątrzyłaby niezagojone rany jego serca. Bawić go polityką albo zdobyczami nauki, ani podobna, bo on nie ma środków do czytania a głód i bolesne cierpienia osobiste, nieusposabiają go wcale do zaciekania się w kombinacje społeczne, albo jakiekolwiek teorje nie dające natychmiast chleba.. jak pusta łopata wyciągana z chłodnego pieca! Wspomnieć o własnych rozrywkach, o nowych stosunkach i znajomościach o jakichkolwiek urządzeniach lub projektach, byłoby to samo, co najdotkliwiéj go upokarzać... i dawać uczuć dotykalnie, bezbarwną nieruchomość jego położenia. Pytać o żonę, o dzieci, zakrawa także na szykanę, bo cóż biedak ma o nich powiedzieć, bez utyskiwania i boleści? Milczeć jednak niepodobna, bo i to upokarzałoby go i bodło, pomimo więc wszelkich trudności, rozmowa się przędzie jako tako, niby batóg z kłaków; gość nie bierze w niéj udziału... aż w końcu jakieś jedno słowo, oburzy go lub zapali i wybucha ze schorzałych piersi powodzią okresów, zaprawionych goryczą i obrazą. Jest wówczas nawet wcale wymownym ale zarazem dziwnie przesadnym, niesprawiedliwym i nielitościwym nie tylko dla bogaczy i marnotrawców, ale dla wszystkich, którzy chcą i mogą żyć jakkolwiek dostatnio. Po pierwszéj chwili uniesienia, postrzega się że wpadł w niestosowny kaznodziejski zapał, że naruszył prawa i obowiązki gościa. Urywa więc nagle i stawia gospodarzy w nieokreślonéj pozycji, dalszem swojem posępnem milczeniem, którem chce niby nagrodzić mimowolne chwilowe zapomnienie, albo wychodzi a raczéj ucieka wylękniony i rozjątrzony.

Częstokroć, dłużéj lub króciéj przed śmiercią, obłożna choroba oszczędza mu ciosów téj bezowocnéj włóczęgi. Kona powoli jak Hiob bez téj wprawdzie, boleści, że dawni przyjaciele nieprzychodzą do niego żeby się naigrawać, ale zarazem bez téj pociechy, że nawet psy nieprzychodzą lizać ran jego serca! Tylko wynędzniałe postacie żony i dzieci na szarym tle nędzy, szarpią jego serce tajemniczemi razami, sroższemi stokroć od dolegliwości choroby i głodu.

Jakiż bywa stosunek moralny żony i dzieci do konającego nędzarza? On był jedynym winowajcą, który rozdmuchał pierwszą zgubną iskrę domowego ogniska, i nie zdołał wstrzymać jego płomieni!... Jest więc zbrodniczym strażnikiem ofiarniczego ołtarza Znicza, nie ustrzegł świętego ognia i winien jest sądu i kary! Niezastanawiajmy się jednak nad tem dłużéj. Są rany społeczne, które lepiéj jest niekiedy zostawić przykryte brudną szmatą, na jaką starczy choremu, żeby ją przed oczami ludzkiemi zasłonić!

Ale oto nadeszła chwila wyzwolenia i tryumfu! Umarł przecie! Żona i dzieci w bezwiednym pędzie przerażenia, roznieśli wiadomość o jego śmierci, do kogo tylko dojść mogli. Znosili nędzę, choroby i głód, ale cóż począć z trupem, którego sama zgroza religijna, niepozwala wynieść na własnych barkach do nieświęconego dołu, bez deski trumiennéj... Trup w rodzinie zubożałéj, to napróżno szukana suma zawiłego rachunku dla nieuka.

Wiele jednak można liczyć na niespodzianki. Lubimy przyglądać się zaćmieniu słońca lub księżyca, niedosypiamy nocy żeby zobaczyć kometę, a obojętni jesteśmy na uroczysty, codzienny ruch ciał niebieskich. Podobnie niespodziane, a korzystne wywiera na nas wrażenie, trup znanego nędzarza, którego codzienny widok dokuczał nam a przynajmniéj był obojętny.

Wszyscy niegdyś znajomi i przyjaciele, a nawet protektorowie, czują się w obowiązku, nietylko pochować trupa ale przeprowadzić go do grobu; — żeby zaś ta ostatnia posługa była godną naszéj obecności, wysilamy się na pogrzeb o ile można wystawny. Każdy przecie będzie wiedzieć, że się to odbywa naszym kosztem, a nie kosztem biednéj rodziny, trzeba więc żeby wiedziano zarazem o naszéj szczodrości. Po przejściu krzyżowéj drogi, któréj kręgi staraliśmy się zaszkicować, biedak zubożały odprowadzony bywa do grobu jak tryumfator, z muzyką i z całym splendorem pogrzebowym, a pośród orszaku obojętnych i znudzonych, idzie chwiejącym się krokiem osierocona rodzina, przerażająco oświetlona trzydniowym blaskiem gromnic i pogrzebowego przepychu!

Skończyliśmy rapsod o naszym bohaterze: dziejów osieroconéj jego rodziny niepotrzebujemy kreślić, zbyt są pospolite i powszednie, i złatwością każdy je wyczyta wpisane czarnemi znakami na poszarpanéj karcie codziennego życia.

Ale ileż roztargnień odrywa nas, od wpatrzenia się w te wymowne heroglify.

Przegląd literacki.

Z po nad mogił. Poezje. Drezno 1871 r. 191 str. Pod tym tytułem wydaną została w Dreźnie, nakładem i drukiem J. I. Kraszewskiego, książka zawierająca następujące utwory: *Po nad mogiłami*, wiersz służący za wstęp do całego zbioru poezji, rodzaj przygrywki wskazującéj ton, w jakim są pisane. *Żale Jeffithy*, treść biblijna, ojciec poświęca własną córkę, spełniając ślub za pokonanie wroga; *Termopile*, znany ustęp z dziejów bohaterskiéj Grecji; *Pod Kannami*, klęska zadana Rzymianom przez Hannibala; *Jako Juljan zaprzaniec zabit od Pana*, śmierć Juljana Apostaty cesarza rzymskiego, który wyrzekłszy się praw Ewangelii wrócił do politeizmu; *Psie pole*, ustęp z naszych dziejów Piastowskich; *Król śmiały*, losy Bolesława śmiałego; *Wiano królewny*, legenda o wynalezieniu kopalni solnych przez św. Kunegundę; *Jako król Henricus jeszcze chyżéj bieżał precz z Polski, niźli do niéj był jachał* (1574), ucieczka Walezyusza z Polski; *Duma o Samuelu Koreckim*, prześliczny wiersz o bohaterze, którego Turcy zamordowali; *Jako król Sobek przegrawszy doma, wygrał pod Wiedniem*, fochy *Marysieńki* i pomoc, jaką udzielił Habsburgom Jan III król polski przeciwko Turkom Wiedeń oblegającym; z Szekspira *Henryka IV* pierwszéj części aktu IV scena piąta; *Zaślubiny św. Katarzyny*, scena apokaliptyczna.

Niektóre z tych utworów znane już są oddawna czytającemu ogółowi, a jak: *Pod Kannami* mieliśmy wygłoszone przez samego autora na jednym z odczytów publicznych w Warszawie, nie potrzebujemy więc rozwodzić się nad uznanym talentem poety, który tak dosadnemi barwami umie malować obrazy z naszéj przeszłości, i nad jego zasługami literackiemi, jakie położył w pracach oryginalnych i wyborowych przekładach.Że poczye pana F. dopraszają się recenzyi, i to wszechstronnéj a bezstronnéj, to rzecz zupełnie inna. Na podobną jednak recenzyę nie

miejsce w skromnym naszym przeglądzie, ograniczymy się więc na kilku uwagach dotyczących języka, jakim się pan F. posługuje.

Le style est l'homme même, powiedział kiedyś Buffon [1]). Prawda to powszechnie uznana stosuje się zarówno do poetów, jak i prozaików. Każdy z wielkich poetów ma sobie właściwy sposób obrazowania swoich myśli i uczuć. Nie szukając daleko z kilku wierszy na los wybranych poznamy Mickiewicza, Słowackiego lub Krasińskiego, którzy chociaż tegoż samego języka używali, co poprzedzający ich tak zwani *klasycy*, jakże jednak wielka zachodzi pomiędzy niemi różnica! Powiemy więcéj, pewna specjalność przywiązana do niektórych imion naszych poetów: Pol w swoich utworach skrystalizował prawie w przysłowia starodawną mowę polską; w Syrokomli wierszach odbita cała fantazja zagonowéj szlachty; Lenartowicz jedynym jest władcą upoetyzowanéj mowy naszego ludu; Bohdan Zaleski tak śpiewny tak harmonijny w swych dumach ma właściwe sobie wyrażenia, których się nie pozbywa nawet w utworach np. w *Przenajświętszéj Rodzinie*.

Autor *Z po nad mogił* nie potrzebował się podpisywać na swojéj książce, gdyż *po stylu* każdy trochę choć obeznany z literaturą ojczystą poznać go może.

Pan F. ma styl sobie właściwy,

Styl ten polega na przyswojeniu różnych archaizmów i na utworzeniu wyrazów i wyrażeń, jakich nie znajdujemy u żadnego ze współczesnych nam pisarzy.

Fantazja poety posługuje się niemi z dziwną swobodą.

O ile zaś one odpowiadają wymaganiom estetycznym, i o ile zbogacają nasz język poetyczny, różni różnie sądzą. Co do nas przyznajemy otwarcie, iż jeżli z jednéj strony dają one niezaprzeczoną siłę i oryginalność poetycznym kreacyom pana F. to z drugiéj strony czynią wiele w nich ustępów ciemnemi, zagmatwanemi, a niekiedy dziwacznemi.

Archaiczność ta w utworach do których treści dostarczyła poecie historja nasza, zupełnie na swojem jest miejscu, gdyż daleko silniéj uwydatnia nam dawniejsze czasy, wskrzesza dzielne postaci, do odmalowania których za słaba dzisiejsza rozpieszczona mowa nasza. W utworach biblijnych (Jeffitha i Zaślubiny Św. Katarzyny) ta niezwykłość mowy ma pewien urok mistyczny, który mimo woli opanowywa czytelnika, ale co najmniéj znajdujemy ją niewłaściwą w poematach branych ze świata greckiego lub rzymskiego, (Termopile, Pod Kannami). Że poeta umie władać czystym i jasnym językiem dowód mamy tego w przekładzie sceny z Szekspirowskiego dramatu, wypowiedzianéj wierszem silnym i wzruszającym.

Styl i język w ogóle w poetycznych utworach pana F. nie jest bynajmniéj ślepem naśladowaniem tak zachwalonéj i niebacznie zalecanéj mowy z czasów Zygmuntowskich, ale samodzielnem jéj przyswojeniem sobie, rozszerzeniem i spotęgowaniem niekiedy przez twórczą fantazję. Dodatnią i ujemną stronę tych usiłowań autora wskazaliśmy.

Tyle co do samego języka.

O wartości wewnętrznéj i wysokim nastroju poetycznych utworów pana F. powiemy tylko, iż stanowią one prawdziwy kontrast obok mglisto-sentymentalnych lub pełnych szału tegoczesnych poezyi. Pan F. wié, czego chce i dokąd dąży.

J. P.

1) Discours de la réception à l' Academie française.

Korespondencja Tygodnika Mód.

ZE LWOWA.

(Dokończenie.)

Bardzo krótka w tym roku sesja sejmu, skończyła się korzystnie dla kraju a mianowicie dla oświaty publicznéj. Na ostatniem posiedzeniu uchwalił sejm ustawę o przymusie szkolnym, który może nigdzie tak nie był potrzebnym jak w Galicji. Pamiętano także o prawdziwie opłakanem położeniu galicyjskich nauczycieli szkół ludowych. Sejm przyjął ustawę, która zapewni tym biednym ludziom regularną wypłatę ich skromnéj płacy, którą dotąd każdy nauczyciel wiejski formalnie wyżebrać musiał od członków gminy.

Nie szczędził także sejm zapomóg z funduszów krajowych na cele oświaty. Kilka zakładów prawdziwie pożytecznych otrzymało dość znaczną subwencję. Z bajecznie wielkiéj liczby najróżnorodniejszych petycji, uwzględnił sejm niektóre zasługujące na uznanie. I tak, udzielono profesorowi uniwersytetu jagiellońskiego znanemu zaszczytnie w świecie naukowym dr. Maksymiljanowi Nowickiemu, subwencję na wydanie szacownego dzieła przyrodniczego, którego nakład reprezentujący wysoką sumę bez subwencji nie zostałby może nigdy dokonany. Upoważnił wreszcie sejm wydział krajowy do nabycia od p. Antoniego Szneidra i wydania materjałów do geografii i statystyki i dziejów Galicji. Materjały te bardzo cenne zebrane zostały staraniem przez p. A. Szneidra, którego pracowitość niepospolita, długo nie mogła się doczekać należytego uznania. Pan Szneider bowiem nie mogąc znaleść nakładcy, rozpoczął wydawnictwo własnym kosztem, ale druk dzieła postępował bardzo leniwo, bo ubogi autor nie mógł się doczekać dostatecznéj liczby prenumeratorów. Pierwsze zeszyty dzieła p. A. Szneidra zostały nadzwyczaj pochlebnie ocenione w dziennikach niemieckich, które prawdziwie zdumione były tak ogromnym zapasem materjałów zebranych pracą i staraniem jednego człowieka. Wydawnictwo w ten sposób rozpoczęte, może nigdy nie byłoby się doczekało końca, gdyby sejm nie polecił wydziałowi krajowemu nabyć i ogłosić drukiem wszystkie te ciekawe rzeczy.

Na ostatniem posiedzeniu zajmował się sejm także i naszym teatrem, który z funduszów krajowych otrzymuje corocznie kilkutysięczną subwencję. W tym roku sejm już zamierzał odjąć teatrowi subwencję, na którą istotnie w dzisiejszym stanie wcale nie zasługuje. Odstępując na teraz od tego zamiaru sejm wyznaczył dyrekcji zwykłą subwencję, ale polecił natomiast Wydziałowi krajowemu osobną uchwałą, ażeby pilniéj czuwał nad stanem teatru lwowskiego, który widocznie coraz więcéj upada. Uchwała ta prawie jednogłośnie przyjęta wywołała dyskusję, która zawiera surowy, ale zasłużony sąd o nieudolności dzisiejszéj dyrekcji. Posłowie Oktaw Pietruski i dr. Zyblikiewicz wykazali faktami, że scena we Lwowie oddana w ręce p. Miłaszewskiego jedynie dzięki systemowi protekcyjnemu rady administracyjnéj, a mianowicie księcia Jabłonowskiego kuratora upada coraz więcéj. W obronie dyrekcji powstał tylko poseł Dąbrowski, który na wstępie przyznał że scena jest złą, ale wina nie cięży na dyrekcji lecz na publiczności lwowskiéj. Poseł Zyblikiewicz zbił dowodnie ten paradoksalny argument powołując się na niedawne dzieje teatru krakowskiego, który w rękach p. Miłaszewskiego chylił się do upadku, a obecnie pod inną dyrekcją ma znakomity personal artystyczny i salę zawsze pełną. Obrona posła Dąbrowskiego zaszkodziła tylko dzisiejszéj dyrekcji. W gronie bowiem najświatlejszych mężów kraju nikt za nią nie przemówił oprócz posła Dąbrowskiego, który jest jednym z najpoważniejszych i najznakomitszych rzemieślników lwowskich, ale o teatrze ze znajomością rzeczy rozprawiać nie potrafi i dlatego jest sędzią do téj sprawy wcale niekompetentnym. Dyrekcja przegrała tedy sprawę w najwyższéj instancji, bo w obec reprezentacji kraju, która zatwierdziła tylko wyrok wydany już dawno przez opinię publiczną. W obec tego faktu umilkli już i ci nader nieliczni przyjaciele p. Miłaszewskiego, którzy dotąd tak niezmordowanie walczyli za zdrowym rozsądkiem i bezstronnym sądem.

Miesiąc ubiegły był jak widać fatalnym dla dyrekcji naszego teatru, bo oprócz téj klęski doznanéj w sejmie, spotkała ją jeszcze druga w towarzystwie przyjaciół sceny, które we wrześniu zwołanem zostało na walne zgromadzenie. Tu wystąpił hr. Zenowicz z oświadczeniem, że gdyby w skutek zniesienia teatru niemieckiego we Lwowie rozwiązany został kontrakt zawarty z p. Miłaszewskim, starać się będzie o dyrekcję wspólnie z hr. Chodkiewiczem i po otrzymaniu dyrekcji ofiaruje 40,000 złr. na podniesienie szkoły dramatycznéj. Pan Miłaszewski widząc, że oświadczenie to może go stanowczo obalić w opinji publicznéj, pospieszył zaraz nazajutrz z oświadczeniem w dziennikach téj treści, że jakkolwiek zawarł kontrakt na sześć lat, dla okazania swéj dbałości o dobro sceny, zrzeknie się dyrekcji, jeżeli hr. Zenowicz złoży do 1 listopada (!) 40,000 złr. a w przeciwnym razie całą tę sprawę uważać będzie tylko za intrygę. Widać z tego, że p. Miłaszewski nie zrozumiał albo nie chciał zrozumieć, do czego właściwie zobowiązał się hr. Zenowicz.

Nie przesądzając jednakże zakończenia téj sprawy, która w każdym razie wyjaśni się w pierwszych dniach listopada, możemy już dziś zapewnić pana dyrektora, że tego rozpaczliwego kroku nikt we Lwowie nie uważa za niezbity dowód jego życzliwości dla sceny lwowskiéj, na co on główny położył nacisk w swojem oświadczeniu. Wyznaczenie bowiem tak krótkiego terminu do złożenia stosunkowo bardzo znacznéj summy, nie jest dowodem, że p. Miłaszewski pragnie dobra sceny.

W świecie księgarskim zbiorowe wydawnictwa obecnie stanowią główną rubrykę. Lwów, zdobył się dotąd tylko na wydawnictwo dzieł J. I. Kraszewskiego, gdy tymczasem Warszawa wydaje dzieła J. Korzeniowskiego, Fredry i Kondratowicza. Ale i to jedno większe wydawnictwo lwowskie jest faktem bardzo pocieszającym, bo dowodzi, że przeminęła chwilowa stagnacja, i budzi nadzieję, że i u nas przecież ruch literacki podźwignie się z upadku. Pierwsze tomy wydawnictwa dzieł Kraszewskiego zawierają powieść: *Dwa światy*, i są jak na skromną cenę nawet okazałe. Nie wątpimy, że wydawcy przysłużą się publiczności czytającéj i nie zawiodą się w swojéj rachubie.

Nowy rok zbliża się, a z nim i niemało projektów literackich, które rzeczywiście po tylu doznanych zawodach nie budzą wiary w powodzenie. Niezawodnie nie obejdzie się bez tego, że na nowy rok ujrzymy kilka prospektów nowych pism literackich, które nie długo zdołają utrzymać się, bo ich wydawcy o ile nam wiadomo, przystępują do wykonania swych planów z tradycyjną w lwowskim świecie wydawniczym nierozwagą, przecenianiem sił i zaniedbywaniem stosunków. Gdyby ci wszyscy amatorowie, którzy noszą się z zamiarami wydawania pism, połączyli się ze sobą i wspólnie podjęli jedno wydawnictwo, starania ich odniosłyby pewnie skutek pożądany, bo brak poważnego organu *literackiego* staje się niezawodnie dokuczliwym. Ale na to nie zanosi się wcale, więc pewni jesteśmy, że w przyszłym roku powstanie znowu kilka pism na to, by po chwilowem zaspokojeniu fantazji wydawców i zbyt rychłem ich zniechęceniu, upadkiem nagłym do reszty zachwiały kredyt perjodycznych publikacji.

W październiku odwiedziło Lwów kilka znakomitych gości. Bawił tu krótko Karol Brzozowski autor kilku pięknych poematów jak np. „Ognisty lew": „Noc strzelców w Anatolji." Brzozowski przybył do Galicji, ażeby zabrać ze sobą kolonistów do Syrji, gdzie posiada bardzo piękne gospodarstwo. W ostatnich dniach października przybył do Lwowa francuzki literat i członek instytutu pan Mallefille y Gomez. Dnia 28 października miał gość francuzki prelekcję w sali ratuszowéj, o panowaniu cesarza Napoleona i ostatniéj wojnie francuzko niemieckiéj.

Miasto nasze zrobiło w ostatnich czasach postęp znakomity. Doczekaliśmy się nowych tablic ze zmienionemi nazwami ulic i racjonalnego oliczbowania domów. Mamy np. ulicę Kopernika, Mickiewicza, Słowackiego, Szajnochy, Fredry, Zimorowicza, Wagilewicza i t. p. Niekażda ulica, odpowiada świetności swéj nazwy, niektóre jak np. ulica Słowackiego jest obecnie chyba tylko placem, na którym powstać może z czasem najwspanialsza ulica. Oby te piękne nazwy zachęciły naszych kapitalistów do stawiania domów, bo drożyzna pomieszkań dochodzi już do bajecznych rozmiarów i dokucza niemiłościwie wszystkim, a zwłaszcza urzędnikom, których płace ułożone podług staréj normy, śmiesznie wyglądają w obec radykalnéj zmiany stosunków. Biedni ci ludzie podają obecnie petycję o udzielenie dodatku na pomieszkanie, i przytaczają w memorjale swoim kilka przykładów illustrujących w okropny sposób, anormalną nieproporcjonalność pomiędzy ich płacami a drożyzną pomieszkań. Z tego memorjału dowiadujemy się, że we Lwowie mnóstwo licznych rodzin niższych urzędnikó mieści się w jednéj wilgotnej stancyjce z kuchen

też na imaginację, która co rok do jakichś wód jeździć musiała. Całe jéj życie upływało na obawie, aby jéj coś nie zaszkodziło, na pielęgnowaniu zdrowia. Zresztą najlepsza osoba w świecie, dobra żona i matka, miła w towarzystwie, z umysłem wykształconym — powszechnie była szanowaną i obudzała politowanie w kole przyjaciół. Słabego zdrowia i składu, delikatna, wycieńczała się dietami, lekarstwy, przestrachem, cierpiała, bo chciała cierpieć, lecz w towarzystwie ożywionem, gdy zapomnieć mogła o téj trosce na chwilę, zdawała się odzyskiwać siły, rumieniec, żywość. Na szczęście nie trwało to nigdy długo, pani Jaworkowska za najmniejszym przeciągiem, uczuciem chłodu lub gorąca, wracała do obawy, do badania w sobie różnych symptomów i wywoływała je wyobraźnią. Tego roku wojna i ją sprowadziła do Krynicy. Córeczka dwunastoletnia, dziesięcioletni syn i guwernantka, która była razem boną saméj pani, dwór jéj składali. Nie znalazłszy innego pomieszkania, musiała stanąć w dwóch pokojach pod Różą, obok pani Domskiéj. W pierwszéj chwili, gdy się wnosiła, a dzieci biegały jeszcze po korytarzu, wyszła matka za niemi, równie troskliwa o ich, jak o swoje zdrowie. Pani Domska wracała z przechadzki z córką, i wchodziła na schody, gdy się z tym nowym gościem oko w oko spotkała. Pani Jaworkowska i ona spojrzały na siebie i stanęły jak wryte. Na obu twarzach malowało się zdziwienie i niedowierzanie. Wreszcie Domska już chciała iść, gdy usłyszawszy głos Jaworkowskiéj, która na córkę zawołała, wykrzyknęła nagle — Marja! czyż to może być..

— Zuzia! Zuzia! z kolei odezwała się żywo przechodząc ku Domskiéj Jaworkowska. — tyś Zuzia! I dwie kobiety płacząc rzuciły się sobie w objęcia.

— Traf osobliwszy! Co to za szczęście..

Zbiegły się dzieci. — Patrz, Zuziu, to moje.,

— Marjo, to córka, ze łzami w oczach odezwała się, wskazując Elwirę Domska.

— Mieszkasz tu?

— Numer trzeci.

— Ja obok zajmuję mieszkanie.

— Chodź do mnie. Po krótkiéj téj urywanéj rozmowie w korytarzu, ująwszy się za ręce, dwie przyjaciółki weszły razem do pani Domskiéj. Nie zdziwi się nikt, iż się odrazu poznać nie mogły, nie widziały się bowiem lat dwadzieścia z okładem. Towarzyszki na pensji, znały się jeszcze panienkami, spotkały matkami, a pani Domska wdową.. Zrazu ściskały się i płakały tylko, Jaworkowska zapomniała trochę o chorobie, krzyżowało się pytań tysiące. Niewiedziały bowiem o sobie nic prawie od czasu jak się rozstały, rodziny ich mieszkały później w różnych częściach kraju, a tyle wypadków i osobistych wrażeń, spraw, trosk, dowiedzieć się nawet nie dozwalały dwóm dobrym przyjaciołkom. Płaciły sobie teraz uściskami powtarzanemi co minuta, za to tak długie rozstanie.

Gdy dzieci się rozgospodarowywały w mieszkaniu i robiły już znajomości w okolicy, ciekawie rozglądając się po Krynicy, a Elwira krzątała się przyjęciem pani Jaworkowskiéj zajęta, dwie panie nagadać się z sobą nie mogły. Zrazu były to pytania i wykrzykniki, bo nie znając swych losów, co chwila się coś niespodzianego dowiadywały, lecz owa dumna świeża Marynia, dziś obwiązana i stękająca, nie miała tak dalece co opowiadać o sobie. Poszła za mąż dość późno, bo przebierała długo i aż trwoga dopiero zostania starą panną wydała ją za mąż za bardzo poczciwego safandułę, pana Jaworkowskiego, dużo starszego od niéj, gospodarza, faciendarza i obywatela całą gębą, ze wszystkiemi wadami i przymiotami tradycjonalnego obywatelstwa wiejskiego. Pan Jaworkowski dozwalał jéj pieścić się i grymasić, kochał bardzo żonę i był najprzykładniejszym z mężów. A że oboje byli bardzo majętni i majątek przyrastał, życie więc nie miało żadnych innych wypadków nad fluksje, bóle głowy, migreny i reumatyzmy. Te ostatnie były udziałem samego czcigodnego Jaworkowskiego. Wiedli życie prawidłowe i prozaiczne, regularne, nudne i szczęśliwe. Z pierwszych zapytań rzuconych pani Domskiéj, Marja przekonała się, że los jéj wcale był odmiennym. Nie chciała nawet biedna owa dawna Zuzia, a dzisiejsza pani Zuzanna, opowiadać o tém obszerniéj przy córce, łzy zakręciły się jéj w oczach, szepnęła tylko: — później...

Jakoż, gdy wieczorem dzieci wybiegawszy się spać poszły, a Elwira z książką została w swoim pokoju, pani Domska poszła do mieszkania przyjaciółki na poufną rozmowę. Znalazła ją już w łóżku, otoczoną flaszkami i materacykami, które na wszelki wypadek, zawsze jéj towarzyszyły.

— Moja Zuziu — zawołała Jaworkowska — daję ci słowo, że i nie chcę i nie mogę spać się kłaść tak prędko, zrobisz mi więc prawdziwą łaskę, jeśli usiądziesz przy mojem łóżku i rozpowiesz mi o swojem życiu i o sobie. Jestem tem bardziéj ciekawa, że przy córce mówić nie chciałaś, że musiałaś wycierpieć wiele, żeś owdowiała, że się domyślam z saméj smutnéj twarzy twojéj jakiejś tragedji.

— Przynajmniéj dramatu, moja droga, cicho westchnęła Domska — nie zbywało na niem w życiu mojem.. Dla ciebie nie chcę mieć tajemnic. Opowiem ci wszystko. Boję się tylko jednéj rzeczy.. Każdy ból, z którego się człowiek długo wyspowiadać nie mógł, wybucha później gwałtownie przy pierwszéj zręczności — gdy się rozgadam, rozpłaczę, nie będzie końca...

— Ale mów, mów, choćby całą noc, przesiedzę, przesłucham — odezwała się Marja — jutro wody nie piję, zasnę dłużéj. Bądź pewna, że mnie to nie zaszkodzi. Wyszłaś starszą odemnie z pensji.. cóż? zaraz cię za mąż wydali?

— Posłuchaj, westchnęła Domska — w tamtych latach, gdyśmy się z sobą znały, młodość tak starczyła za wszystko, żeśmy się jedna drugiéj, ani spytały w jakiem położeniu rodzina. Nic prawie nie wiesz o mojéj, prócz, że byłam jedynaczką, aż do mojego wyjścia z pensji myślałam, żeśmy bogaci. Matka moja nie żyła od lat kilku, ojciec, który mnie kochał jak mógł i umiał, starał się, aby mi na niczem nie zbywało. W domu było dostatnio i na wielkiéj stopie, życie wesołe i gwarne, a gości pełno. Dwie piękne wioski, pałacyk z parkiem, liczna służba, liberje, konie, ekwipaże — wszystko to złudzić mogło starszą i doświadczeńszą nademnie istotę swym blaskiem i zapowiadać jéj życie w przyszłości dostatnie, bez troski, w kole ludzi, do których się nawykło. Nie mogłam się naówczas ani domyślać, że majętność była ogromnie zadłużoną, i że ojciec brnął coraz bardziéj nieopatrznością swą w nowe długi, że ruina groziła co chwila. Oszukiwali go oficjaliści, przyjaciele, spikały się losy. Zdziwiłam się mocno, gdy raz ostatni powróciwszy z pensji zastałam ojca smutniejszego, osamotnionego, chorego. Nazajutrz i dni następnych, goście których u nas tak wielu bywało zawsze, nie ukazali się. We dworze posępne twarze, żydków ciągle pełno, narady z prawnikami i ciche jakieś i gorączkowe rozmowy. Nieśmiałam pytać ojca, przyjechałam z pełną głową i sercem marzeń o przyszłém gospodarstwie, o ogrodzie, zabawach przejażdżkach, a jak zwykle, zastałam w domu najniespodzianszych, bo nieznanych trosk.. widmo, którego twarzy straszliwéj tylko domniemywać się wolno mi było. Probowałam pytać ojca.. zobaczyłam łzy w jego oczach, pomięszanie jakieś, próbował mię złudzić i przekonywać, iż nic się nie zmieniło, że tylko on czuł się słabszym niż zwykle. Ogarnął mnie przestrach tem większy. Z otaczających a przywiązanych do domu sług starych, nic się dowiedzieć nie mogłam.. niechcieli martwić panienki. Łamałam głowę, co to być mogło, gdyż o upadku majątkowym nawet przeczucia nie miałam. Upłynęło tak parę tygodni, uderzyło mnie to, że goście teraz już prawie nie miewaliśmy, pustki zupełne. Parę osób przyjeżdżało do ojca i po naradach w jego gabinecie, wysuwały się po cichu. Nareszcie jednego dnia ojciec do mnie przyszedł, pocałował w czoło i cichym głosem odezwał się nieśmiało: — Jutro będziemy mieli gości.. nie znasz ich.. są to ludzie majętni, ojciec z synem... Ojciec.. jest trochę rubaszny i śmieszny, syn wychowany starannie.. Przyjm ich grzecznie, będą zapewne na obiedzie, a że mamy z sobą interesa ciężkie, przeciągnąć się może i parę dni wizyta. Nie potrzebuję cię prosić — dodał mój ojciec wzdychając — ażebyś, nawet w razie gdyby ci towarzystwo ich nie było miłem, nie bardzo to okazywała. Idzie mi o to wielce dla nieszczęśliwego interesu, ażeby ich jak najlepiéj przyjąć i ugościć.

Zapewniłam ojca, żem gotowa dla jego spokoju być jak najbardziéj nadskakującą tym panom, i że oddawna znudzoną byłam tą samotnością i goście mi byli bardzo pożądani. Około południa zatoczył się powóz wielki, wygodny, rosłemi czterema końmi zaprzężony, błyszczący od bronzów i z liberją wygalowaną, wyglądający niesmacznie, a z niego wysiadł niemłody, słusznego wzrostu, barczysty mężczyzna, który — co mnie mocno zdziwiło — nim wszedł do domu, bez ceremonji, ręce w kieszenie włożywszy, począł dwór, zabudowania i ogród lornetować. Za nim szedł syn, cieńszy i mniejszy, lecz zresztą do niego podobny.. Ojciec pospieszył na spotkanie pana Radcy. Patrzałam przez okno ciekawa, na przywitanie — ze strony ojca było niezmiernie grzeczne i nadskakujące — Radca jakoś mi się zdał względem gospodarza zbyt poufałym i lekceważącym. Nie wyszłam aż do stołu. W salonie zastałam ich na żywéj rozmowie, przy jakiejś mapie i papierach gdym weszła, przerwała się ona, zaprezentowany pan Radca dosyć kwaśno podał mi rękę, poszliśmy do stołu.

Przy obiedzie posadzono mnie między ojcem a synem. Pierwszy z nich wcale ze mną rozmawiać nie okazywał ochoty, ledwie pod nosem coś dla przyzwoitości szepnął, rozsiadł się pompatycznie w krześle i przez szkiełka przyglądał się jakoś dziwnie jadalni i widokom z okien. Wypytywał ciągle ojca.. o budowle, o pola.. o różne szczegóły gospodarskie. Tymczasem syn zrazu milczący zaczął po cichu rozmawiać ze mną.. Od pierwszych kilku słów poznałam, że miał i pretensją i prawo do lepszego wychowania niż ojciec. Zapoznaliśmy się łatwo, mówiąc o fraszkach, o książkach, o nowościach, o muzyce. Zdało mi się nawet, że rozmowę prowadził z pewnem zadowoleniem. Wśród niéj ojciec posępne nań kilka razy rzucił wejrzenie, jakby chciał czy przestrzedz o czemś, czy coś mu dać do zrozumienia, ale on na to nie zważał. Ojciec mój tak do tego odegrywał rolę wesołego, żem ja nawet uwierzyła w jego dobry humor, i sama też z łatwem w młodości trzpiotowstwem ożywiłam się wielce. Uważałam, że pan Radca był jakby z tego niekontent i parę razy cisnął na mnie wzrokiem niemiłym, alem udała, iż nie rozumiem. Ojciec mi się całkiem

nie podobał. Na ówczas nie miałam go do czego przyrównać i nie rozumiałam téj postaci, jakiéj podobnych nie widywałam na wsi, dziś mogę powiedzieć, iż to był typ bankiera... spekulanta, jednem słowem miejskiego dorobkowicza. Wiejski, jak wiesz, wygląda wcale inaczéj. Miałam urazę do niego nie za siebie — ale za ojca, którego nawykłam widzieć szanowanym powszechnie. Radca postępował sobie z nim z poufałością jakąś oburzającą. Ojciec to znosił łagodnie i uśmiechał się biedny. Obiad tak przeszedł dla mnie dosyć prędko, a gdyśmy na czarną kawę powrócili do salonu — syn był już jakby dawnym dobrym znajomym. Podobał mi się, miał w sobie coś łagodnego, dobrego, coś ludzkiego, co serca zyskuje. Ponieważ mówiliśmy o kwiatkach, wyprowadziłam go na ganek, aby mu moje pokazać, widziałam jak za nami szły oczy zagniewane ojca — śmiałam się z tego w duszy. Było to bodźcem bym syna jeszcze bardziéj starała się przyciągnąć. Miałam w tym względzie instrukcyę ojca wyraźną i tem śmieléj postępowałam sobie. Po kawie ojciec mi szepnął nieznacznie, abym odeszła i nie przeszkadzała im w interesie aż do herbaty, byłam posłuszną. Z daleka tylko słyszałam, że ciągle bardzo żywo rozmawiano, a głos samego Radcy chwilami dziwnie nieprzyzwoicie wybuchał.

Człowiek ten mi się wydał nieznośny, odrażający, musiałam i ja na nim też samo uczynić wrażenie. Gdym przyszła na herbatę, dopiero ukazanie się moje przerwało niezmiernie głośną perorę jakąś pana Radcy, który, leżąc raczéj, niż siedząc w krzesełku, dowodził coś bardzo głośno. Zobaczywszy mnie umilkł. Ja nie zważałam na niego, przyszedł do mnie syn, zaczęliśmy rozmowę przy stoliku. Mogłabym ci ją dziś powtórzyć jeszcze tak mocno utkwiła mi w pamięci. Dzień to był, chociażem się tego nie domyślała, stanowiący o losie moim.

Pani Domska, mówiąc to, westchnęła. — Ale któż się kiedy domyśla, spotykając po raz pierwszy w życiu obojętnych ludzi, że oni kiedyś w losach jego stanowczą mają odegrać rolę. Mówią o przeczuciach, jam ich nie doświadczyła. Byłam najpewniejszą, że tych gości widzę raz pierwszy, a da Bóg i ostatni. Po herbacie, do której mnóstwo różnych przypraw potrzebował nieznośny pan Radca, rozsiadłszy się u stołu jakby w domu, i przyrządzając sobie ten napój do smaku, wyszli oni z ojcem na cygaro do przyległego pokoju, a syn ze mną pozostał. Aż do wieczerzy rozmawialiśmy znowu z sobą i czas mi się nie wydał zbyt długim. Pan August przyznał się przedemną, że interesów nie lubi, że kocha literaturę, sztukę, że radby podróżować, ale go ojciec zaprzęga do pieniężnych różnych zajęć i spraw, nieznośnych dla niego. Niech pani tylko nie sądzi — dodał — że jestem próżniak, że radbym się bawić — nie; to, co dla ludzi zowie się zabawą, mnie jest nie pożądliwem. Lubię małe kółko wykształconych osób, cichą rozmowę, muzykę poważną i uroczystą, naturę, kwiaty... dom... wieś... i bardzo — podróże. Tak mi się spowiadał śmiejąc, a ja przyznałam mu, że prawie bym na te same życia warunki zgodzić się mogła. Wieczerza była podobną do obiadu, z tą różnicą, żeśmy przy niéj poufalsi z nim byli i lepiéj znajomi, i że ja instynktowo unikałam jakoś, aby się bardzo panu ojcu nie narażać. Pomimo że ojciec zapowiadał pobyt dłuższy, wyjechali nazajutrz raniuteńko, bez pożegnania. Wypytywałam potem o nich i dowiedziałam się, że pan Radca mieszkał w Berlinie, że prowadził jakieś wielkie interesa i handlował dobrami, że syn skończył tam uniwersytet, że byli ludzie bardzo majętni — i nic więcéj. Nie śmiałam badać ojca jaki rodzaj interesu miał lub mógł mieć z niemi. W kilka dni potem niespodzianie zjawił się syn, bez ojca, pana Radcy. Siedzieli długo na jakichś naradach, pojechali w pole, do drugiéj wioski, wrócili dopiero wieczorem. Pan August był znudzony tem i ożywił się niezmiernie przy herbacie. Swobodniejszym też był daleko teraz niż pierwszym razem, jak się domyślałam dla tego, że za nim niespokojny wzrok Radcy nie biegał. Ponieważ tego dnia był u ojca prawnik z miasta przybyły, i mieli coś z sobą do mówienia ciągle, w tym samym salonie bawiąc cały wieczór, zupełnieśmy byli swobodni, poznaliśmy się jeszcze bliżéj i lepiéj jeszcze. August się żywo zdawał mną zajmować i aniśmy się spostrzegli, gdy zegar wybił dwunastą. Śmiejąc się, dodał, mówiąc mi dobranoc, iż jutro tak rano nie wyjedzie, że choć się obawia być bardzo natrętnym, ale musi cały dzień zabawić. Zdaje mi się, żem mu odpowiedziała grzecznym komplementem, iż nigdy natrętnym mi być nie może.

Późno już ojciec niespodzianie przyszedł do mojego pokoju w lepszym, niż od dawna bywał, humorze. Zaczął mnie badać jak mi się młody August podobał, odpowiedziałam z dziecięcą szczerością, że znajdowałam go miłym bardzo, ale równie otwarcie przyznałam się, iż radca był dla mnie opryskliwym i nieznośnym. — A! temu się ja wcale dziwować nie będę — rozśmiał się ojciec — wszyscy się na to z tobą zgodzą. Co za szkoda, że taki miły i poczciwy syn dostał się takiemu papie. — Zabawił tedy pan August nazajutrz, a z powodu deszczu, uproszony przezemnie, znaczną część dnia następnego. Dowiedziałam się, że grywa na fortepianie, zmusiłam go siąść ze mną na cztery ręce. Bawiliśmy się, śmieli jak dzieci. Ojciec mój patrzał na to z nietajoną radością. Gdy się wreszcie żegnać przyszło, pan August gorący pocałunek kładąc na mojem ręku wedle dawnego zwyczaju, cicho bardzo spytał mnie, czy nie będę się gniewała, jeśli kiedy na chwilę do nas wpadnie? Zdaję mi się, żem zarumieniona aż nadto poznać mu dała, iż mi jego przybycie sprawi przyjemność.

Byłam młoda, trochę wsią znudzona, a August w istocie mógł sympatyczną swą naturą podobać się łatwo, głowa mi się zawróciła, serce bić zaczęło — marzyłam. Ale i dwa i trzy tygodnie upłynęły, a pana Augusta widać nie było, jużem się gniewała na niego. Dałam mu to uczuć, gdy na chwilkę dla widzenia się z ojcem niby, ale, zdaję mi się, bardziéj ze mną — przyjechał. Byłam smutna, nadąsana, zimna, przebłagał mnie jednak łatwo tłumaczeniem, którem dowiódł, że będąc pod rozkazami dosyć despotycznego ojca, wprzódy przybyć nie mógł. Kilka godzin, które u nas zabawił, spędziliśmy na żywéj rozmowie, powiedział mi otwarcie, że mu było tęskno za mną. Gdy wyjeżdżał, spokojniejsza go żegnałam, wiedząc, że powróci. W przeciągu następnego miesiąca przybiegł parę razy. Za drugiemi odwiedzinami miał dłuższą z ojcem rozmowę, a wieczorem, jak piorun na mnie spadło — oświadczenie się jego. Zmięszana, odwołałam się do woli rodzicielskiéj, byłam nieprzygotowaną, nie wiedziałam co począć, nie chciałam odmówić. August zamknął mi usta tem, że z ojcem moim już mówił, i że ten, nie będąc przeciwnym, odwołuje się do mnie. Prosiłam go o czas do namysłu do jutra. Przerażona chciałam zerwać myśli, skupić się w sobie, pomodlić, bałam się już tego szczęścia, tak nagle przychodzącego, jak każdy lęka się stanowczéj losu odmiany. Nawet w młodości wiemy, że ona rzadko wypada na lepsze. August trochę zdziwiony, trochę strwożony przystał na to odroczenie. — Pozwól mi pani — rzekł — ażebym się jéj przed tym namysłem, który ma o losie moim stanowić, wyspowiadał szczerze. Nie chcę byś mi późniéj zarzucić mogła, że ją w błąd wprowadziłem milczeniem — kocham panią, jutro powiem, że to uczucie przetrwa trudności, które się z niego narodzą — lękam się tylko o panią, aby one dla niéj nie były przykremi. Widziałaś pani ojca mojego, jest to najzacniejszy z ludzi, poważam go i szanuję, winienem mu wszystko, lecz muszę wyznać, iż ciężko dobijając się w życiu stanowiska, które uzyskał, nabył pojęć, zasad, wyobrażeń często dla mnie i dla wielu nie wytłumaczonych. Wszystko, co ma, winien jest mój ojciec sobie, a że walczył o to długo, przywiązuje zbytnią może wagę do rzeczywistości, do majątku, do korzyści, jakie z każdego kroku wyciągnąć może lub umie. Jest też trochę dumny swem szczęściem.

Nie potrzebował mi go pan August malować, bom ja to wszystko z wejrzenia na pana radcę odgadła. Dodał w końcu, iż ojciec zrazu przeciwnym być może z pewnych względów małżeństwu temu, ale on — zaklął się najuroczyściéj — przemoże wszystko. Z rozmowy późniéj mógł się już August przekonać, iż rozkazując mu czekać do dnia następnego, czyniłam to raczéj z jakiejś skromności dziewiczéj niż z serca. Po odejściu jego pobiegłam do ojca — ojciec szedł do mnie, spotkaliśmy się, nie mówiąc słowa, rozpłakana rzuciłam mu się na piersi. Milcząc powiódł mnie z sobą do gabinetu, nie rychło przyszliśmy do wyznania, on do słowa. Płakał, ściskał mnie, rozpoczynał mowę, i nie mógł dokończyć, nareszcie odezwał się, jakby zebrawszy na męztwo. — Dziecko moje! serce mi się ściska, że w tym dniu stanowczym, mogę powiedzieć szczęśliwym dla ciebie, mam ci szczeremi wyznaniami, o tajonem długo położeniu naszem, zatruć jasną chwilę. Ty nic nie wiesz, jam żebrak, ja bankrut jestem, ja straciłem wszystko. Gryzę się tem, taiłem przed tobą długo wyznanie, aby ci bólu oszczędzić. Bóg mnie wysłuchał, Opatrzność ratuje mnie przez ciebie. Jeżeli August ożeni się z tobą, ocaleje dla ciebie, jeśli nie majątek, to choć przyszłość, w tym kątku, który nazywał się moim, w którym żyli pradziad, dziad, ojciec... Jak przyszło to nieszczęście? Sam nie wiem, winą może moją, która mnie męczy jak wspomnienie zbrodni, winą może losów nieuniknionych, może złych ludzi, w których uczciwość wierzyłem zanadto. Zamążpójście za Augusta ratuje ciebie, ratuje mnie, po części honor mój nawet. Ale czy miłość poczciwego Augusta potrafi przełamać upór ojca? Za to ręczyć nie można. Radca sam się dorobił miljonów, nawykł despotycznie obchodzić się ze wszystkiemi, i z dzieckiem — nasze poczciwe imię coś warte, to prawda, wejść by ono mogło w rachubę u kogo innego, lecz ten człowiek w nic oprócz grosza nie wierzy, o nic prócz pieniędze nie dba. Ma tylko dwoje dzieci, syna i córkę, dla syna miljonowéj przedewszystkiem szukać będzie dziedziczki, przecierpisz wiele, a potem któż jeszcze wie, co cię czeka w życiu.

— Ale ja kocham Augusta! zawołałam rzucając się ojcu do nóg, — dla niego, dla ciebie cierpieć potrafię. Płakaliśmy oboje, rozmawialiśmy długo, dowiedziałam się szczegółów o rodzinie Augusta, bo ojciec nic nie chciał taić przedemną. W istocie przyszłość cała na sercu szanownego X. leżała, po za niem otaczały ją straszliwe groźby. Rodzina, wyjąwszy jego, była tak niemiłą, tak nieobiecująca rodzinnego życia, jak sam radca. Ojciec ich widział, znał, słyszał o nich wiele. Wróciwszy do mojego cichego pokoiku, który opuściłam z sercem tak swobodnem, z głową tak rozmarzoną — nie mogłam ani zasnąć, ani się nawet położyć. Wyszłam ztąd dzieckiem, wróciłam na próg niewiastą, przed

którą stała przyszłość pół jasna, na pół czarna, straszna. Skończyłam na łzach i modlitwie. Serce mi mówiło, że na niego rachować mogę, że kocha mnie szczerze. Nazajutrz podałam mu rękę — Masz ją — rzekłam — w dobréj i złéj doli nie opuści cię ona nigdy — bądź mi opiekunem, bądź obrońcą, od dziś dopiero znam położenie moje. — Wczoraj jeszcze sądziłam się równą tobie, panie Auguście, dziś wiem, że ci oprócz serca nic nie przynoszę. Ludzie posądzić mogą, żem o tę miłość starać się mogła — gdy — przysięgam, iż o ubóstwie naszem wiem teraz dopiero z ust ojca. — Broń mnie — oszczędzaj i rachuj, że nie znajdziesz we mnie istoty niewdzięcznéj.

(d. c. n.)

WSPOMNIENIA
Z PODRÓŻY PO WŁOSZECH

PRZEZ

Aleksandra Dumasa (ojca).

(Dokończenie.)

XV.

Vardarelli

Pomiędzy pierwszymi karbonarami znajdował się pewien kalabryjczyk nazwiskiem Gaetano Vardarelli. Była to homeryczna postać, posiadająca wszystkie przymioty pierwotnéj natury: muszkuły lwa, nogi wielbłąda, oko orła. Służył naprzód pod Muratem, bo Murat myślał, że karbonarzy najlepiéj dopomogą mu do dostania się na tron neapolitański. Ale spostrzegłszy, że trzeba do tego silniejszego trochę ramienia niż karbonarzy, zaczął ich ścigać. Vardarelli uciekł i schronił się do Kalabrji, w swoje rodzinne góry, dokąd, jak mu się zdawało, nikt nie ośmieli się go ścigać. Ale się omylił.

Murat, miał wtedy między swoimi generałami, człowieka bajecznie śmiałego, wytrwałego i uporu nieugiętego, słowem takiego jakiego los zsyła zawsze, kiedy chce co stworzyć lub zniszczyć: był to generał Manhes.

Przebiegnijcie całą Kalabrję od Reggio do Pestum, wszędzie i każdy, co ma talara w kieszeni i kawałek ziemi, powie wam, że jeżeli posiada spokojnie tego talara i ten kawałek ziemi, winien to generałowi Manhes. Przeciwnie kto nie ma ani talara ani ziemi swojéj, a chce ją zabrać drugim ten ma w obrzydzeniu generała.

A zatem i Vardarelli zmuszony był uledz pod żelazną ręką Manhesa. Ścigany z doliny na dolinę, z lasów do lasów, z gór między góry, cofał się krok za krokiem, aż wreszcie przyparty do Sycylji musiał przebyć cieśninę i wejść do służby króla Nasone. Miał wtedy 26 lat, wzrostu wysokiego, siłę i odwagę niezłomną. Takiego człowieka usługi nie odrzucają się — został sierżantem w sycylijskiéj gwardji. W tym to stopniu powrócił do Neapolu w 1815 roku, razem z królem Ferdynandem.

Ale dla takiego człowieka jak Gaetano Vardarelli, stopień sierżanta nie wystarczał. Mógł wprawdzie zostać podporucznikiem, ale i to było dla niego zamało. Namyśliwszy się, w końcu uciekł ze służby Ferdynanda jak uciekł ze służby Murata. Schronił się do Kalabrji, wezwał dawnych towarzyszy, którzy zaraz przybyli i wybrali sobie Vardarelliego wodzem, przysiągłszy mu ślepe posłuszeństwo i dając mu nad sobą prawo życia i śmierci. Niewolnik w mieście został królem w górach i tym straszniejszym że nie było już generała Manhesa.

Vardarelli trzymał się starej rutyny, która zawsze jednała wielkie powodzenie bandytom w Kalabrji: ogłosił się wielkim regulatorem spraw ziemskich, to jest rozpoczął społeczną niwelację pomagając biednym kosztem bogatych. Chociaż ten system dobrze jest znany dotąd jednak nie zużył się jeszcze. Dla tego to imię Varderella stało się wkrótce niezmiernie popularnem i groźnem; doszło nawet do króla Nasone. Król Ferdynand został właśnie przywrócony na tron i bardzo rozumnie myślał, że wszystko już teraz dobrze jest na tym najlepszym świecie. Nie lubił więc żadnego reformatora, któryby chciał zmienić postać tego świata, a następnie Vardarelli wydał mu się prostym rozbójnikiem zasługującym na szubienicę. I rzeczywiście wydał rozkaz żeby go schwytać i powiesić.

Ale żeby powiesić człowieka do tego potrzeba trzech rzeczy: postronka, szubienicy i człowieka. O kata nie trzeba się kłopotać, kat znajdzie się zawsze i wszędzie. Agenci królewscy mieli już stryczek i szubienicę, kata prawie byli pewni, brakowało im tylko najgłówniejszej rzeczy: człowieka do powieszenia.

Zaczęto uganiać się za Vardarellim, ale ponieważ wiedział w jakich to filantropijnych zamiarach tak się żywo nim zajmują, nie dał się przywabić niczem. W dodatku odbywszy, nadzwyczaj jędrny nowicjat pod generałem Manhesem, nauczył się niesłychanych podstępów i miał niedocieczone kryjówki. Wiele było z nim do roboty, a wszystko napróżno. Nigdy go tam nie zastano gdzie się go spodziewano, pokazywał się tam gdzie nikt o nim nie myślał, znikał jak widmo, powracał jak burza.

Nic tak prędko nie dodaje siły i znaczenia jak powodzenie. Jest to magnes, który wszystko przyciąga do siebie. Banda Vardarella, wynosząca zrazu zaledwie 15 ludzi urosła wkrótce do 160 — Vardarelli stał się potęgą. Jedna przyczyna więcéj, żeby ją zniszczyć. Układano plany wojenne, podwojono wojsko, naznaczono cenę na jego głowę, wszystko napróżno. A tymczasem z każdym dniem rozchodziły się wiadomości o jakim nowym jego czynie, coraz przebieglejszym, coraz śmielszym. Zbliżał się nawet o dwie mile do Neapolu, jakby się chciał natrząsać z rządu. Pewnego dnia wyprawił sobie polowanie w parku królewskim Persiano i nabił sporo królewskiéj zwierzyny. Innym znowu razem, książe Leperano, pułkownik Calcedonio i major Delponte polowali w lasach niedaleko Bari, kiedy nagle rozległ się krzyk: Vardarelli, Vardarelli! Wszyscy zaczęli uciekać i wpadli prosto na niego. Gdyby nie dzielne konie, przyzwyczajone do ścigania jeleni, wszystkich by był go połapał, tym razem wpadł mu w rękę jeden tylko myśliwy: major Delponte.

Nie mieli wtedy szczęścia bandyci. Major Delponte był najwaleczniejszym ale i najbiedniejszym oficerem w całéj neapolitańskiéj armji. Kiedy Vardarelli zażądał od niego tysiąc dukatów okupu, major pokazał mu figę i oświadczył, że nie ma ani jednego grosza przy duszy. Bandyta zagroził mu, że go każe rozstrzelać, jeżeli w naznaczonym czasie suma ta nie zostanie wypłaconą. Delponte odpowiedział na to, że napróżno będzie na pieniądze czekał i że lepiéj zrobi, jeżeli go każe natychmiast rozstrzelać, bo przynajmniéj nie będzie darmo żywił. Vardarelli może byłby go i usłuchał, ale spodziewał się, że król nie opuści swojego walecznego majora i nie zawiódł się, bo Nasone, jak tylko się dowiedział o nieszczęściu Delponta, kazał zaraz zapłacić za niego okup. W skutku tego, pewnego poranku, Vardarelli oświadczył majorowi, że ponieważ suma okupowa została w zupełności zapłaconą, to jest już wolny i może iść w świat, gdzie mu się podoba. Delponte, chociaż nie wiedział, kto za niego zapłacił, postanowił korzystać z tego dobrodziejstwa, zażądał swojego konia i swojéj szabli, wskoczył na siodło i odjechał stępo gwiżdżąc sobie jakąś miłosną piosenkę. Bandyci przypatrywali mu się z ciekawością i uwielbieniem.

Ale król, chociaż uwolnił majora, zawziął się jeszcze bardziéj na Vardarellego, bo musiał traktować z nim jakby z równym sobie. Jakiś półkownik nie pamiętam już jego nazwiska, widząc oburzenie króla, przysiągł, że jeżeli mu dadzą batalion wojska to złapie Vardarelli'ego i jego dwóch braci i całą bandę i przyprowadzi związanych przed monarchę. Ofiara była ponętną i przyjętą została. Minister wojny oddał pod rozkazy półkownika 500 ludzi którzy zaraz poszli szukać Vardarelli'ego i jego bandy.

Ale Vardarelli miał wszędzie wiernych i pewnych szpiegów. Uprzedzono go zaraz o nowéj na niego wyprawie. Dowiedziawszy się o tem i Vardarelli przysiągł na wszystkie świętości, że wyleczy półkownika raz na zawsze, z téj chętki łapania poczciwych ludzi.

Zaczął od tego że go ciągnął za sobą po wszystkich górach i lasach dopóki zupełnie nie ustał. Przyprowadziwszy wojsko do tego stanu, posłał mu fałszywą wiadomość o sobie. Półkownik zawierzywszy ślepo doniesieniu, postanowił podejść cichaczem bandę w jakiejś małéj wsi, leżącéj po za wąwozem tak wązkim, że zaledwie czterech ludzi obok siebie mogło przejść tamtędy. Kilka litościwych osób ostrzegało półkownika, że to niebezpiecznie, ale tak był już rozdrażniony, że nie chciał o niczem słyszeć i w dziesięć minut po odebraniu wiadomości, wyruszył w pochód przeciw bandytom. Szedł tak spiesznie, że w dwie godziny przebył cztery mile i nad rankiem znalazł się u wejścia do wąwozu, po za którym miał się znajdować Vardarelli i jego ludzie. Ujrzawszy miejscowość okropnie przydatną na zasadzkę, wysłał na zwiady dwudziestu ludzi, którzy przeszukawszy wszystko na pół mili wokoło, wrócili nie znalazłszy nigdzie żywéj duszy.

Półkownik nie wahał się więcéj i puścił się wąwozem. Zaledwie doszedł do miejsca gdzie się wąwóz zaczął rozszerzać rozległ się krzyk: Vardarelli, Vardarelli! Krzyk ten jakby z nieba spadł. Półkownik podniósł głowę i ujrzał nadbrzeża wąwozu obsadzone z obóch stron bandytami, a siebie i cały batalion pod ogniem ich broni wymierzonéj ku nim ze straszną pewnością. Półkownik jednak nie stracił serca, zakomenderował: „formuj szeregi, do ataku! Vardarelli krzyknął: „Rzucić broń lub wszyscy trupem padniecie". Za wodzem krzyknęła banda, za bandą krzyknęło echo, to też żołnierze myśleli, że ich otacza trzy razy większa liczba. A że nie wykonali przysięgi jak ich półkownik, zaczęli rzucać broń na ziemię, nie zważając na groźby i prośby swojego dowódcy.

Vardarelli natychmiast rozkazał żołnierzom złożyć broń w kozły, co zaraz wykonali, daléj żeby się rozdzielili na dwie partje i żeby każda z nich udała się na wskazane sobie miejsce, co także punktualnie wykonali. Wtedy wziąwszy z sobą dwudziestu ludzi otoczył nimi broń stojącą w kozłach, i kazał tymczasowo zalać wodą naboje i proch na panewce.

Nowy ten wybryk nie zjednał Vardarelle'mu wielkiéj łaski u dworu. Wydano najsurowsze rozkazy chwytania bandyty. Mimo to, ponieważ król Nasone

był bardzo żartobliwego usposobienia, nie długo chował do niego urazę, owszem opowiedział śmiejąc się na całe gardło, tę awanturę. A ponieważ wielu ludzi ciekawych jest każdéj awanturki jeszcze do tego opowiadanéj przez króla, to się też wieść o niéj wkrótce rozeszła po całym Neapolu, a biedny półkownik przez całe trzy lata, nie śmiał się pokazać w stolicy.

Ale generał komenderujący w Kalabrji, wziął tę sprawę daleko żywiéj do serca niż sam król. I on także przysiągł, że jakimkolwiek bądź sposobem wyniszczy całą bandę Varderella, aż do ostatniego. Zaczął tedy ścigać ich na zabój ale bandyci żartowali sobie z jego pokuszeń. Widząc to generał wdał się w układy z przywódcą, i zaproponował mu czyby on sam i jego ludzie nie chcieli wejść w służbę do króla. Niewiadomo czy warunki były bardzo korzystne, czy Vardarelli sprzykrzył sobie już tę wieczną włóczęgę, dosyć że przyjął podawane sobie warunki i zawarto układ jak następuje:

W Imię Przenajświętszéj Trójcy.

Artykuł I. Udzieloną zostanie zupełna amnestja Vardarell'emu i jego ludziom.

Artykuł II. Banda Vardarelle'go zamienioną zostanie na oddział ruchomych żandarmów.

Artykuł III. Vardarelli pobierać będzie żołdu 90 dukatów miesięcznie, każdy z jego trzech adjutanów po 45 dukatów, a każdy szeregowiec 20 dukatów. Żołd ten wypłacany będzie miesięcznie, ale zawsze z góry.

Artykuł IV. Oddział wyżéj wymieniony wykona przysięgę na wierność królowi, będzie pod rozkazami generała dowodzącego w prowincji gdzie będzie stał, a przeznaczony będzie wyłącznie do ścigania i łapania wszelkiego rodzaju złoczyńców.

Neapol. Lipca 6 roku 1817.

Powyższe warunki były obustronnie prędko spełnione. Banda Vardarelle'go zmieniwszy nazwisko i mundur, odebrała miesięczny żołd z góry i poszła zaraz na wyprawę przeciw bandytom plondrującym po Capitanate. Tak się gracko około nich zawinęła, że w przeciągu kilku tygodni droga z Neapolu do Reggio, była tak bezpieczną, że można było ją przebyć trzymając worek w ręku.

Ale generałowi nie o to wcale chodziło, miał on z Vardareli'm cięższy rachunek. Naprzód nie zapomniał jeszcze przygody półkownika, a powtóre zły był o to, że 60 nowych żandarmów dokonało tego czemu nie mógł poradzić cały batalion regularnego wojska. Postanowiono więc uwolnić państwo od Vardarelle'go i jego ludzi, jak tylko oni oczyścili Kalabrję od złoczyńców. Łatwiéj było to jednak pomyśleć niż wykonać, bo całe wojsko którem dowodził generał, nic by nie mogło zrobić gdyby byli bandyci choć najmniejsze podejrzenie mieli o tem co przeciwko nim zamyślają. Ale chociaż nie mieli żadnego podejrzenia, ostrożni z natury, nie dali przez cały rok najmniejszego powodu, żeby się można było do nich przyczepić. Generał zatem musiał ograniczyć się na chęciach.

Znalazł jednak sprzymierzeńca między dawnymi przyjaciołmi ex-bandytów. Jakiś człowiek z Porto-Canone, którego siostrę Vardarelli uwiódł, stawił się przed generałem i oświadczył mu, że go uwolni od Vardarell'ego i jego braci, a może i od całego oddziału nowo-kreowanych żandarmów. Generał przyrzekł mu znaczną sumę za to, ale zdrajca nie przyjął jéj mówiąc, że krwi mu potrzeba a nie pieniędzy. Ponieważ sam nie może tego dokonać, ponieważ musi sobie przybrać kogoś do pomocy, ponieważ pomocnicy darmo nie będą łba nadstawiać, to dla nich trzeba będzie zapłaty hojnéj. Ile zażądano, ile dano nikt nie wie. Ale następstwa tego handlu o życie ludzkie, znane są dobrze w całem królestwie Obojga Sycylii.

Pewnego dnia Varderelli i jego ludzie stali zebrani na placu we wsi Usuri: mieli jechać na jakąś wyprawę. Pozsiadali z koni a dowódca i jego bracia chodzili sobie spokojnie przed frontem. Nagle z okien i z dachu jednego domu padło kilkanaście strzałów. Vardarelli, jego bracia i kilku ludzi zostało zabitych. Cały oddział, nie wiedząc co to znaczy, ale domyślając się zdrady wskoczył na konie i w oka mgnieniu zniknął. Kiedy plac był już zupełnie pusty, człowiek który był u generała, wyszedł z owego domu i kiedy inni obdzierali poległych, on udał się prosto na miejsce gdzie leżał Vardarelli, umaczał ręce w jego krwi i pomazał sobie nią twarz dla zmycia hańby siostry swojéj. Nie dotknąwszy się niczego, nie wziąwszy ani szeląga z wypłaconéj nagrody, oddalił się i nikt już o nim nie słyszał.

I tego jeszcze nie było dosyć generałowi, że zginął Vardarelli i jego bracia. Zostali prawie wszyscy jego ludzie, którzy bez najmniejszéj wątpliwości chwycą się dawnego rzemiosła i narobią dużo kłopotu panu główno dowodzącemu. Postanowił więc odegrać daléj rolę przyjaciela, i wydał rozkaz aresztowania morderców. Ponieważ oni wcale się nie ukrywali, schwytano ich łatwo, wsadzono do więzienia i trąbiono głośno, że będą surowo ukarani za tak straszną zbrodnię. A ponieważ zbiegi dowiedzieli się już, że pomiędzy mordercami Vardarel'ego i jego braci, znajdował się brat zdradzonéj siostry przez ich wodza, zaczęli więc rozmyślać, że morderstwo to było może skutkiem zemsty i że może naprawdę generał nic tu nie winien. Odebrawszy w dodatku pismo od niego, że traktat z 6 Lipca trwa w swojéj mocy, że mogą sobie obrać innego przywódcę i wrócić do służby, biedacy wpadli w zasadzkę.

Wybrali sobie zaraz naczelnika i zawiadomili o tem generała. Dostali drugie pismo, które ich wzywało, żeby się zebrali w mieście Foggia, gdzie się odbędzie ich przegląd. Zastrzeżono zaraz w tem piśmie, żeby się wszyscy co do jednego zgromadzili, żeby można było sprawdzić, czy wybór był prawny i jednomyślny. Wywiązały się między byłymi bandytami gorące rozprawy, po odczytaniu tego listu. Większość utrzymywała, że trzeba udać się na miejsce rewji, mniejszość nie chciała na to przystać, twierdząc, że to jest nowa zasadzka na zgubę ich wszystkich wymyślona. Na mocy układu z dnia 6 Lipca, mają zupełną wolność wybrać sobie kogo i jak chcą, a wybór taki nie potrzebuje potwierdzenia rządowego, a zatem zwołują ich na pewno w jakichś złych zamiarach. Takie przynajmniéj było zdanie ośmiu z pomiędzy nich, którzy pozostali w lesie i nie pośli razem z innymi do Foggia mimo próźby i zaklęcia swoich towarzyszy.

Było to w niedzielę, rewja miała się odbyć uroczyście, plac miejski zaległa liczna publiczność. Vardarelliści weszli do miasta w największym porządku uzbrojeni jak na wojnę, nie dając najmniejszéj oznaki podejrzenia i napaści. Owszem przybywszy na rynek dobyli pałaszy i krzyknęli głośno. „Niech żyje król!" Generał pokazał się na balkonie, żeby przywitać przybywających, a adjutant jego zeszedł na plac żeby ich przyjąć. Nie mogąc się dosyć nachwalić piękności ich koni i czystości ich broni, kazał im defilować przed balkonem, co wykonali z precyzją starego żołnierza. Po wykonaniu tego obrotu, zeszykowali się znowu na rynku, adjutant kazał im z siąść z koni, żeby sobie odpoczęli, a sam miał zanieść generałowi listę nowego dowódcy i jego oficerów.

Adjutant wrócił do domu z którego wyszedł, Vardarelliści stali spokojnie trzymając konie za cugle, kiedy pomału zaczął się między ludem objawiać jakiś ruch, potem krzyki przestrachu, a wreszcie jakiś dziwny przypływ i odpływ. Oto wszystkiemi ulicami, prowadzącemi na rynek postępowało neapolitańskie wojsko w ściśnionych szeregach, i otoczyło ze wszystkich stron łatwowiernych zuchów.

Spostrzegłszy że zostali zdradzeni, Vardarelliści wskoczyli na koń i wydobyli pałasze. Generał zdjął z głowy i podniósł do góry czapkę; publiczność zrozumiała ten znak, nachyliła się mimowolnie cała, piechota dała ognia i dziewięciu Vardarellistów upadło z koni. Pozostali widząc, że to nie przelewki, zsiedli z koni i uzbrojeni w karabiny przebili się przez wojsko i wpadli do ruin starego zamku, w których się zabarykadowali.

Dwóch tylko śmielszych, korzystając z zamięszania, uderzyli konno na mały oddział piechoty, wypalili z broni, zabili dwóch żołnierzy i uciekli co koń wyskoczy w góry. Obok nich znajdowała się kobieta która nie ustępowała im w śmiałości, to też razem z nimi ocalała.

Wszystkie wojenne siły skierowano teraz przeciw bandytom, znajdującym się w ruinach. Żołnierze posuwali się ostrożnie, spodziewając się rozpaczliwego oporu. Jakież było ich zadziwienie, kiedy bez wystrzału dostali się, aż do bramy. Wyłamali ją, rozbiegli się na wszystkie strony przeszukali korytarze, pokoje, ale nigdzie ani śladu nie było po Vardarellistach — zniknęli, jakby kamień w wodę rzucił.

Oblegający przetrzęśli wszystkie kryjówki, ale nigdzie nic nie znaleźli.

Już mieli się cofnąć, myśląc że bandyci uciekli w góry jakąś drogę tylko im samym znaną, kiedy jakiś żołnierz, zbliżywszy się do okienka od piwnicy i chcąc weń zajrzeć, upadł nagle przeszyty karabinową kulą. Vardarelliści zostali odkryci, ale nie łatwa była sprawa dostać się do nich. Otóż zamiast szukać ich w tem schronieniu, chwycono się innego środka — powolniejszego ale bezpieczniejszego. Okienko od piwnicy zawalono kamieniami, postawiono przy nim mocny oddział z nabitą bronią, potem odszukano wejście do piwnicy, nakładziono przed nim ogromne kłosy suchych drzew i zapalono je. Drzwi spaliły się, a schody od razu rozgorzały; jakby to było wejście do piekła. Dym i płomień dostał się do piwnicy, gdzie siedzieli Vardarelliści. Mimo to grobowa cichość panowała w piwnicy. Wreszcie wyleciały dwa strzały. Dwaj bracia, nie chcąc się dostać żywcem do niewoli, uściskawszy się, zabili jeden drugiego. Potem rozległ się trzeci strzał. Jeden z bandytów rzucił się w sam środek płomieni, ładownica jego wyleciała w powietrze i rozszarpała go na kawałki. Pozostali, widząc że nie ma dla nich żadnego środka ocalenia poddali się. Odwalono kamienie przy okienku i wydobyto wszystkich, jednego po drugim, powiązano, wpakowano na wozy i odstawiono do więzienia miejskiego.

Tych zaś ośmiu, co nie przybyli do Foggia i tych

dwóch co uciekli, ścigano zawzięcie. Jedni zginęli walcząc, drudzy wydani przez szynkarzy zginęli na szubienicy. W przeciągu roku nie zostało już ani jednego. Jedna tylko kobieta co się była przebiła przez żołnierzy, ocalała, nikt jej dotąd nie widział ani umarłéj ani żywéj.

Kiedy król dowiedział o tem wszystkiem wpadł w wielki gniew, bo po dwa razy zgwałcono traktat, nie przez niego wprawdzie, ale w jego imieniu zawarty. Wiedział on dobrze, że nieprzebłagana historja zapisuje fakta nie wchodząc w ich przyczyny, że na świecie ministrowie są odpowiedzialni za błędy królów, a w rocznikach historycznych królowie odpowiadają za błędy swoich ministrów. Ale tyle nagadano ze wszystkich stron, że sprawiedliwie postąpiono z bandytami, aż w końcu przebaczył tym, którzy nadużyli jego imienia.

Prawda i to, że w r. 1820 wybuchła w Neapolu rewolucja, miał więc co innego do roboty niż zajmować się Vardarellistami. Po trzeci raz powrócił do swojego wiernego Neapolu, po dwóch latach nieobecności, przyjmowany okrzykami radości swojego ukochanego ludu. Na wielkie nieszczęście Neapolitańczyków, trzecia ta Restauracja krótko trwała.

Wieczorem do 5 Lutego 1825 r. król położył się po zwykłéj partji w karty i po zwykłych pacierzach. Nazajutrz, ponieważ nie dzwonił aż do godziny dziesiątéj rano, otworzono drzwi do jego komnat i znaleziono go nieżywym.

Przy otwarciu testamentu, w którym zalecał swojemu synowi Franciszkowi, żeby rozdawał ciągle jałmużny, takie same jakie on zwykł był dawać ubogim, dowiedziano się że jałmużny dochodziły rocznie do 24,000 dukatów. Żył lat 76 a panował 65, widział własnemi oczami trzy generacje, a mimo trzech rewolucji i trzech restauracji, umarł najpopularniejszym monarchą, w Neapolu.

KONIEC.

DOMBEY I SYN

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

KAROLA DICKENSA.

(Dalszy ciąg)

Właściwe przedmieście Staggs-Gardens stanowił szereg niskich domków, których drzwi poobłamywane, zastępowały tu i owdzie kawałki staréj blachy lub ceraty, pęki chrustu, podziurawione kotły lub inne tym podobne sprzęty domowe. Mieszkali tam po większéj części ogrodnicy, uprawiający warzywo i zajmujący się hodowlą drobiu i królików. Ludzie ci żalili się wielce na zamęt spowodowany w ich dzielnicy robotami około kolei, a nawet wielu z pomiędzy nich miało w wyniku owych robót tak mało zaufania, że ofiarowali stawić w zakład całe swoje mienie, że wszystek ten zakręt do niczego nie doprowadzi.

Taką była ta licha miejscowość, nieznana Dombeyowi nawet z nazwiska, a w którą przeznaczenie zawiodło w onym dniu Pawełka za pośrednictwem jego mamki.

— Otóż i nasz domek! zawołała ta ostatnia wskazując go towarzyszce po dość długiéj wśród tych rumowisk wędrówce.

— Doprawdy! rzekła z zadowoleniem Zuzia.

— Ach! nawet już widzę siostrę na progu z moim aniołkiem, krzyknęła uradowana Polly.

To rzekłszy, puściła się biegiem, jakby jéj skrzydła wyrosły, i w jednéj chwili znalazła się obok Jemimy, któréj odebrała szybko dziecię oddając jéj swoje, zanim oszołomiona dziewczyna mogła zrozumieć, jakim sposobem spadkobierca firmy Dombey znalazł się na jego ręku.

— Polly! ach to doprawdy Polly! wołała uradowana Jemima. Toż mi dopiero zrobiłaś niespodziankę! Ale chodźże, wejdź do domu. A jak ślicznie wyglądasz moja Polly! To się dopiero dzieciaki ucieszą! doprawdy chyba poszaleją z radości.

Zdawało się w istocie, że mało do tego brakuje, gdy się Polly w domu ukazała. Wśród nieopisanego krzyku i gwaru, dzieci rzuciły się na matkę i posadziwszy ją na niskim stołku przy kominie, poczęły ściskać i całować, odbierając sobie na przemian jéj twarz zarumienioną, do któréj się cisnęły małe twarzyczki, bardziéj jeszcze rumiane i rysami do niéj podobne. Polly była niemniej od dzieci gwarliwą i rozradowaną i nie prędzéj się opamiętała, aż gdy piękny jéj czepek od święta całkiem już był zmięty, a włosy potargane wzrok jéj poczęły przysłaniać.— Wtedy nakazała dzieciom, aby się uspokoiły i otrząsnąwszy się nieco od ich natarczywych pieszczot, została na miejscu pieszcząc najmłodsze swe dziecię, podczas gdy starszy synek zakradłszy się za jéj krzesełko, czynił rozpaczliwe wysilenia by się wdrapać na poręcz i ztamtąd matkę uściskać.

— Patrzcie no dzieci, co to za śliczna panienka do was przyszła, rzekła Polly, a jaka grzeczna, jaka ładna, czy widzicie?

Słowa te zwróciły uwagę małéj gromadki ku Florci, a zarazem też ku Zuzi, któréj się już poczynało zdawać, że się wszyscy nią zamało zajmują.

— Zuziu, wejdźże proszę i usiądź na chwilkę, rzekła do niéj Polly. Oto moja siostra Jemima. Nie umiem ci powiedzieć siostro, ile zawdzięczam Zuzi. Gdyby nie ona, nie byłabym tu dzisiaj.

— Ale proszę, niech pani usiądzie, rzekła Jemima.

Zuzia usiadła na samym brzegu krzesła, w sposób bardzo ceremonjalny.

— Nie pamiętam, żebym się kiedy w życiu tyle ucieszyła co dzisiaj, rzekła Jemima.

Zuzia nieco udobruchana, uśmiechnęła się uprzejmie i zasiadła się cokolwiek głębiéj na stołku.

— Proszę, niech pani zdejmie kapelusz, dodała nalegająco Jemima, niech pani zechce się rozgościć, prosimy całem sercem; wprawdzie nie mamy tu tego do czego pani przywykła, ale liczymy na jéj pobłażliwość.

Okazywane jéj względy, poprawiły tak szybko usposobienie Zuzi, że po chwili pochwyciła w biegu małą córeczkę Polly i wzięła ją na kolana.

— Ale gdzież mój kochany Rob? zawołała Polly, gdzie mój śliczny aniołek? wszak dla niego głównie tu przyszłam, żeby go zobaczyć jego w nowem ubraniu.

— Otóż mi dopiero bieda! zawołała Jemima. To się chyba chłopak zapłacze jak się dowie, że matka tu była, a on właśnie poszedł do szkoły.

— Jakto? już tam chodzi?

Posyłamy go już, żeby czasu nie tracił, ale pewnie zaraz wróci, bo podobno dziś dzieci mają wolne popołudnie: możebyś mogła trochę poczekać, moja Polly; — to jest, jeśli panna Zuzanna na to się zgadza — dodała Jemima przeczuwając poniekąd oprysklliwość pokojówki.

— A jakże wygląda mój biedak w tem ubraniu? spytała z drżącem sercem Polly.

— Doprawdy, nie tak źle jakbyś myślała; wcale nieźle wierzaj mi.

— Pewnie jego nóżki za krótkie do tych skórzanych spodni?

— No tak, może trochę, ależ ich przecie codzień przyrasta.

Pocieszona nieco tem zapewnieniem, Polly spytała nieco raźniéj.

— A gdzież ojciec? (patryarchalne to miano nosił mąż jéj w całéj rodzinie.)

— Albo i to także! zawołała Jemima; czy nie prawdziwe utrapienie? Ojciec zabrał z sobą obiad, i jak wyszedł z rana, tak nie wróci aż wieczorem. Ale wiesz co, moja Polly, on ciągle tylko o tobie mówi dzieciom; poczciwa to dusza, dobry, spokojny jak nie ma drugiego na świecie.

— Dziękuję ci Jemimo, za to co o nim powiadasz: to mię pociesza przy tem zmartwieniu, że go nie zobaczę.

— Och, nie masz za co mi dziękować, odrzekła Jemima całując znowu siostrę i huśtając wesoło Pawełka; wszakże i o tobie nieraz mówię to samo, a wtedy także nie zmyślam.

Pomimo dwóch doznanych zawodów, odwiedziny owe nosiły cechę serdecznéj wesołości. Stopniowo, siostry rozgwarzyły się coraz bardziéj o domowych sprawach rodziny, o Jerzyku i o całéj małéj gromadce; tymczasem zaś Zuzia przeszedłszy się parę razy po pokoju nosząc jedno z dzieci na plecach, zajęła się wysłaniem swych czarnych oczu na skrzętny przegląd wszystkich sprzętów w pomieszkaniu. Nic nie uszło jéj bacznéj uwagi; zegar z kukułką, skromny kredensik, na kominku tekturowy pałacyk z różnobarwnemi oknami, które można było oświetlać zapalając wewnątrz świeczki, dwa aksamitne kotki trzymające myszy w pysku — co obudzało podziw sąsiadów wiernością naśladowania — wszystko to zostało z kolei przez nią starannie obejrzane. Gdy potem rozmowa stała się ogólną — bowiem obie siostry miały na uwadze obraźliwość Zuzi — ta ostatnia opowiedziała Jemimie wszystko co wiedziała o Dombeyu i o jego rodzinie, o domowych jego sprawach i osobistem usposobieniu. Nie omieszkała także dać jéj wiedzieć, ile sama posiadała sióstr i braci, oraz sukien i kołnierzyków, a pośpiech z jakim to wszystko wypowiedziała zaostrzył do tego stopnia jéj apetyt, że spożyła smacznie sporą porcję ryby, popijając ją porterem, poczem już znalazła się w jak najlepszem usposobieniu względem całéj rodziny Toodlów.

Florcia zabawiła się także w owym dniu tak dobrze jak nigdy dotąd w życiu. Dzieci wyprowadziły ją do ogródka, żeby jéj tam pokazać rosnące w kącie pieczarki i inne miejscowe osobliwości. Potem zabrały się z nią do urządzenia bardzo pracowicie tamy, mającéj zatrzymać wodę w małéj kałuży znajdującéj się w końcu ogródka. Zabawa ta została wszelako niebawem przerwana w smutny sposób niespodzianem pojawieniem się Zuzi. Gorliwa ta opiekunka Florci nie tracąc poczucia swych obowiązków, nawet pod łagodzącym wpływem ryby i porteru, uprowadziła swą wychowankę w sposób wielce gwałtowny, zawstydzając ją bardzo wykazywaniem poniżających jéj upodobań. Potem zabrała się do obmycia rąk jéj i twarzy z błota, co czyniąc przepowiadała, że dziecię to stanie się kiedyś powodem, iż cała jego rodzina w jednéj godzinie posiwieje. Wreszcie siostry poczęły żegnać się z sobą, przyczem miała jeszcze miejsce w sieni dość długa rozmowa na osobności, głównie o pieniężnych sprawach domu. Na ostatku Polly odebrała Pawełka od Jemimy oddając jéj własne dziecię, i całe towarzystwo zabrało się do odejścia, wysławszy wszelako na tę chwilę wcale godziwym podstępem, wszystkie dzieci do bliskiego straganu, aby tam sobie owoców

kupiły. Tym sposobem mogła Polly wymknąć się z domu niepostrzeżona; gdy odchodziła, siostra wołała za nią z daleka, że byleby tylko poszła Starem miastem, z pewnością napotka syna powracającego ze szkoły.

— Czy myślisz Zuziu, że będziemy miały czas pójść tamtędy? spytała Polly, gdy przystanęły na chwilę dla wytchnienia.

— A czemużby nie? odpowiedziała pokojówka.

— Bo widzisz, już się zbliża pora obiadu, a tamtędy trochę dalej, zauważyła mamka.

Ale świeżo spożyte śniadanie uczyniło imć pannę Nipper całkiem obojętną na wzgląd podobny, oświadczyła zatem stanowczo, że wypadało nałożyć trochę drogi w nadziei napotkania Roberta.

Cóż się jednak działo tymczasem z owym nowym uczniem Przytułku Szlifierzy? Oto odkąd przywdział mundur zakładu, życie wyraźnie mu się przykrzyło. Stał się bowiem pośmiewiskiem i celem obelg wszystkich uliczników, dosyć mu się było pokazać aby od nich być napastowanym. Był jego stawał się coraz bardziéj podobnym do życia pierwszych wyznawców chrześcjaństwa, przechodził najcięższe próby i upokorzenia, bywał tarzany w rynsztoku, kaleczony od kamieni, targany za włosy ile się tylko dało. Nieraz już zrywano mu z głowy czapkę z żółtą opaską i obrzucano błotem skórzane jego spodnie. Tego właśnie poranku, przyszedł do szkoły z okiem podbitem, za co otrzymał karę od nauczyciela, chociaż wcale nie miał udziału w zdarzeniu, które ów siniak spowodowało. Ale ten nauczyciel był to bakałarz, który zjadł zęby na targaniu dzieci za uszy i na biciu ich linią po palcach, i na tem podobno kończyła się jego nauka. Zrobiono go nauczycielem właśnie dla tego, uchodził bowiem za umiejącego wybornie kierować dziećmi i co prawda, sam widok tego wiecznie rozżartego zwierzchnika przejmował dreszczem jego uczniów.

Stało się tedy że w dniu onym, Robert nauczony rannem doświadczeniem postanowił za powrotem najmniej ludnych ulic, a nawet gdzie było można przemykał się chyłkiem po za domami, dla ujścia uwagi swych prześladowców. Z tem wszystkiem, gdy mu wypadło przechodzić przez drogę, zła gwiazda jego właśnie tam sprowadziła sporą gromadkę uliczników, która pod przewodnictwem krępego rzeźniczego terminatora, czekała tylko sposobności do zabawienia się po swojemu. Zaledwie spostrzegli ukazującego się ucznia Przytułku Szlifierzy, rzucili się ku niemu z okrzykiem radości.

Ale w tejże saméj chwili, dziwnem losu zrządzeniem, Polly nadchodziła właśnie wypatrując syna na drodze. Gdy się ukazał, poznała go odrazu i spostrzegła co się gotuje. Z szybkością błysku, rzuciła Pawełka na ręce Zuzi, a sama pobiegła jak strzała na pomoc swemu dziecku.

Niespodzianka ta pociągnęła niebawem drugą za sobą dla Zuzi. Zanim bowiem zrozumiała o co chodzi, usłyszała krzyk obok siebie i ręce nieznajomych jakichś przechodniów wyciągnęły ją wraz z dziećmi z pod kół już prawie nadjeżdżającego wozu, którego nie spostrzegła zapatrzywszy się za biegnącą Polly.

Przerażona do najwyższego stopnia Zuzia, rzuciła się na bok drogi prawie bezprzytomna i tam wpadła w kupę ludzi i bydła gęsto zbitą — był to bowiem dzień targowy. W téj chwili rozległ się krzyk w tłumie: uciekajcie byk się zerwał! Na ten odgłos, Florcia która się dotąd jakoś trzymała Zuzi, całkiem głowę straciła i poczęła co tchu uciekać, wołając towarzyszki za sobą. Biegła tak dopóki jéj sił starczyło, wreszcie stanęła zdyszana, ale wtedy nie zobaczyła już przy sobie ani Polly, ani Zuzi. Biedna dziecina załamała rączki z rozpaczą i na głos się rozpłakała.

— Zuziu! Zuziu! wołała przerażona, gdzie ty jesteś? Boże, gdzie się one podziały?

— A czegoż panienka od nich odbiegła, rzekła nadchodząca najśpieszniéj jak tylko mogła kulawa jakaś staruszka, czegoż się ich panna nie trzymała?

— Ale bom się tak zlękła, odpowiedziała Florcia, że ani wiem co się ze mną działo. Myślałam że są tuż przy mnie. Gdzie się one mogły podziać?

— Zaraz ich odszukamy — odparła stara biorąc Florcię za rękę. Była to kobieta odrażająco szpetna, z oczami wielce czerwonemi i ustami które niby zawsze coś przeżuwały. Ubranie jéj było bardzo nędzne, na ręku miała przewieszonych kilka skórek wyszarzanych. Zapewne biegła dosyć szybko żeby dogonić Florcię, była bowiem bardzo zdyszana, co ją jeszcze więcéj szpeciło, bo twarz jéj pomarszczona, i szyja poruszały się konwulsyjnie od szybkiego oddychania.

Nowa ta opiekunka wielce przerażała Florcię, która wypatrywała wszędzie, czy gdzie nie zobaczy swych towarzyszek. Tymczasem kobieta wyciągnęła ją za sobą, wreszcie wyprowadziła na jakąś uliczkę a raczéj zaułek całkiem opustoszały.

— Chodź ze mną, nie masz czego się obawiać, rzekła, nie puszczając ręki Florci. Chodź prędko.

— Kiedyż bo sama nie wiem co mam robić, odpowiedziała Florcia. Jak się pani nazywa? dodała patrząc niespokojnie w oczy staréj.

— Nazywam się pani Brown, rzekła ta ostatnia, a dzieci bardzo mię kochają i zowią mię dobrą panią Brown.

— Gdzie się też mogła podziać Zuzia? mówiła ciągle Florcia. Muszą być obie gdzieś niedaleko.

— Chodź no, chodź tylko, a zaraz ich odszukamy odpowiadała stara.

— Może się im stało co złego?

— Ale nie, zaraz się z niemi zejdziesz. Tylko chodźmy prędko.

Uspokojona dziewczynka poszła z chęcią za starą kobietą, spoglądając wszakże na nią od czasu do czasu z mimolną obawą.

Droga którą razem odbyły nie była długą, ale dość przykrą wszelako, gdyż prowadziła manowcami mało uczęszczanemi. Naprzód szły po za staremi cegielniami, potem błotnistą jakąś uliczką którą przerzynały głębokie koleje pełne wody, wreszcie przewodniczka Florci zatrzymała się przed nędzną chatką starannie zamkniętą, jakkolwiek jéj ściany świeciły nie jedną dziurą. Otworzywszy drzwi kluczem który miała schowany w kapeluszu, stara wepchnęła dziecię do ciemnéj komory od tyłu zarzuconéj stosami różnych łachmanów, kości i miału od węgla.

Widok téj ponuréj izby o czarnych zasmolonych ścianach przeraził tak okropnie Florcię, że głos jéj zamarł w piersi i o mało nie zemdlała ze strachu.

— No i czegóż tak stoisz jak jaki uparty osiołek? odezwała się dobra pani Brown, potrząsając ją za ramię. Przecież cię nie zjem, chodźże tu bliżéj i siadaj na tych gałganach.

Florcia usłuchała w milczeniu, wyciągając rączki ku staréj z wyrazem niemej prośby.

— Nie myśl żebyś tu miała zostać, rzekła pani Brown. Zaraz cię puszczę, czy mnie rozumiesz?

— Rozumiem, wyjąkało z wysileniem biedne dziecię.

— W takim razie uważaj co ci powiem. Pamiętaj żebyś mię nie rozgniewała, bo jak będziesz grzeczna, nic ci nie zrobię, a inaczéj to cię zabiję. Mogę cię zabić jak tylko zechcę, nawet choćbyś była w domu, we własnem łóżeczku. A teraz, powiedz mi jak się nazywasz i zkąd jesteś? powiedz wszystko — czy rozumiesz?

Przerażona groźbą staréj żebraczki, z resztą nad wiek swój nawykła do panowania nad sobą, Florcia znalazła siłę dopełnić o ile umiała to, czego od niéj żądano. Wysłuchawszy jéj uważnie, stara rzekła:

— Więc się nazywasz Flora Dombey.

— Tak jest, proszę pani.

— Zdejmże teraz tę sukienkę, a także spódniczkę i ten ładny kapelusik, bo mi to wszystko potrzebne. Słyszysz, zabieraj się do tego a żywo!

Florcia poczęła się rozbierać jak mogła najśpieszniéj, ale rączki jéj drżały jak w febrze, a wzrok przerażony nie opuszczał twarzy pani Brown. W miarę jak zdejmowała z siebie różne części swego ubrania, stara przepatrywała je starannie i zdawała się z tego przeglądu bardzo zadowolona.

— Cóżby tu jeszcze wziąść można? rzekła wreszcie pożerając wzokiem drobną postać Florci. A! jeszcze są buciki — zdejm ni je zaraz.

Dziewczynka usłuchała skwapliwie, rada że jéj pozostaje jeszcze jeden środek zadowolenia strasznéj kobiety. Gdy tego dopełniła, ta ostatnia wydobyła z pomiędzy leżących na ziemi łachmanów starą jakąś okrywkę całą w strzępach, oraz kapelusz prawdopodobnie znaleziony na śmietnku i kazała Florci przywdziać te rzeczy, co dziewczynka tem śpieszniéj uczyniła, że widziała w tych przygotowaniach zapowiednią bliskiego oswobodzenia.

Wkładając na głowę to, co pani Brown raczyła nazywać kapeluszem, a co było tylko szczątkami byle czegoś, Florcia zaplątała sobie w strzępy włosy i nie mogła jakoś zaraz je rozwikłać. *Dobra* pani Brown przyszła jéj w pomoc z dziwnym pośpiechem, i chwyciwszy za nożyczki, zawołała gniewnie:

— Czegoż tak marudzisz, mała? jak mi się prędko nie zwiniesz zaraz się koło ciebie zabiorę.

— Przepraszam panią, rzekła drżącym głosem Florcia, ale to nie moja wina.

— Nie twoja? więc może moja? zawołała gniewnie pani Brown. Tylko ty mi marudź jeszcze, a zaraz ci poobcinam te twoje kudły.

Florcia cała drżąca od strachu, na widok ogromnych nożyc któremi stara wywijała, uspokoiła się nieco, widząc że w najgorszym razie może stracić tylko włosy, nie zaś głowę. W obawie pogorszenia usposobienia czarownicy, nie wymówiła ani słowa, tylko patrzała w nią swem słodkiem wejrzeniem.

— Doprawdy, jak mi Bóg miły, nie zostawiłabym jéj ani jednego włosa i korci mnie je poobcinać, rzekła po chwili pani Brown, tylko że mam ja gdzieś daleko na świecie córkę z takiemi samemi pięknemi włosami, i pamiętam jak się niemi pyszniła... Ale ona daleko i bardzo daleko!..

W ochrypłym głosie staréj było w téj chwili tyle boleści, wychudłe jéj ręce zadrżały się z taką rozpaczą, że Florcia uczuła żywszą jeszcze trwogę. A jednak, rozpacz ta właśnie wyszła jéj na korzyść. Żebraczka uwijała się jeszcze wokoło niéj przez czas jakiś ze swemi groźnemi nożycami, ale skończyło się na tem, że jéj gniewnie nakazała zebrać włosy pod kapelusz i mieć o nich na przyszłość staranie. Odniosłszy to zwycięztwo nad sobą, stara zasiadła na kupie kości i poczęła kurzyć z krótkiéj fajeczki poczerniałéj, wykrzywiając się i ruszając szczękami, jak gdyby gryzła koniec cybuszka.

Skończywszy fajkę, dała Florci do niesienia skórkę zajęczą żeby wyglądała na jéj towarzyszkę, i obiecała doprowadzić ją do ulicy, na któréj by dziecię mogła o mieszkanie ojca dopytać. Zarazem zagrozi-

ła jéj najstraszliwszą zemstą w razie, gdyby komukolwiek swą przygodę opowiedziała i kazała jéj nie ruszać się z miejsca gdzie ją zostawi, dopóki nie wybije trzecia godzina. Wszystko to Florcia przyobiecała najchętniéj spełnić.

Wtedy poczciwa pani Brown poprowadziła ją tak przebraną do niepoznania, przez rozmaite kręte uliczki i zaułki do jakiegoś placyku czyli raczéj dziedzińca, zakończonego ulicą dosyć ludną, jak to można było wnosić z gwaru od niéj dochodzącego. Wskazawszy Florci gdzie miała stanąć i w którą potem stronę się udać, skoro trzecia wybije, stara oddaliła się wreszcie, nie bez zmięcia raz jeszcze w swych kościstych palcach pukló w wymykających się z pod ochydnego kapelusza Florci, i zapewnienia jéj, że z daleka nie przestanie mieć ją w swojéj mocy.

Jakkolwiek tem bardzo strwożona dziewczynka, uczuła się już nieco raźniejszą, gdy sama została na wskazanem jéj miejscu, przy ujściu sąsiedniéj ulicy. Po chwili gdy się obejrzała, zobaczyła *dobrą* panią Brown, jak z końca placyka wygrażała jéj pięścią w sposób wielce wymowny. Było to już ostatnie pożegnanie staréj czarownicy, potem Florcia nie ujrzała jéj więcéj.

Dziewczynka stała na miejscu czas jakiś, patrząc na ruch uliczny coraz bardziéj nim odurzona, i czekając z upragnieniem wybicia oznaczonéj godziny. Ale zdawało się, że zegary postanowiły w dniu tym milczeć uporczywie. Wreszcie dzwony odezwały się trzy razy i zaraz potem zegar powtórzył tyleż uderzeń. Wyraźnie to była trzecia godzina. Florcia niedowierzała wszelako jeszcze sobie: niepewna czy może już odejść, oglądała się po kilka razy — to postępowała kilka kroków naprzód, to się znowu cofała, myśląc, że zswawszą ją śledzą stuoczni szpiegowie pani Brown. Wreszcie przyzwawszy w pomoc całą odwagę, ruszyła z miejsca tak szybko jak tylko na to pozwalały stare chodaki, które miała na nogach, trzymając zawsze w ręku zajęczą skórę, która jéj stara dała do niesienia.

Flora nic więcéj o domu ojca nie wiedziała nad to, że tam był kantor firmy Dombey i syn, i że ów kantor miał wielkie znaczenie w Starem mieście. W taki więc tylko sposób mogła się o niego dopytywać, że się zaś z tem udawała do dzieci, bo się śmielszą z niemi czuła, nie wiele się zpewno mogła dowiedzieć. To jedno zyskała wszelako, że jéj wskazano stronę w któréj było Stare miasto, zaczem idąc zbliżała się coraz bardziéj do niego.

Po pewnym czasie weszła w tę gwarną dzielnicę i niedługo znalazła się w samym jéj środku. Zmęczona długim pochodem, potrącana co chwilę i oszołomiona otaczającym ją ruchem, do tego równie niespokojna o brata i o towarzyszki, jak przerażona myślą o gniewie ojca, gdy ją zobaczy w łachmanach jakie miała na sobie, biedna dziecina szła wolniejszym już krokiem, nie mogąc łez swoich powstrzymać. Ale przechodnie nie zwracali na nią uwagi, w przekonaniu, że ją nauczono wyzyskiwać litość w ten sposób. Widząc się od wszystkich opuszczoną, Florcia przyzwała ku swéj pomocy ową moc duszy, którą przedwcześnie w niéj wyrobiły smutne życia koleje, i postanowiwszy dopiąć swojego celu, szła coraz daléj nie poddając się rozpaczy.

Przeszło dwie godziny już upłynęło było, odkąd się Florcia rozstała ze swemi towarzyszkami, kiedy chcąc uciec od nieznośnego zgiełku wązkiéj jakiejś uliczki pełnéj powozów, wózków i taczek, wyszła na rodzaj wybrzeża zarzuconego stosami skrzyń, worów i przeróżnych pakunków. W pobliżu widać było ogromne wagi drewniane i przy nich budkę na kółkach, w któréj krępy jakiś jegomość z piórem za uchem, przypatrujący się statkom pogwizdywał z rękami w kieszeniach, jak gdyby czynność jego dzienna już się miała ku końcowi.

— Idź sobie mała, rzekł ów człowiek spostrzegłszy Florcię gdy się obejrzał przypadkiem; idź sobie nic nie dam.

— Czy to Stare miasto, proszę pana? spytała drżąc cała córka potężnego Dombeya.

— Spodziewam się, że nie co innego. Ale wiesz ty o tem i bezemnie, moja mądra panienko, odpowiedział ów człowiek. Ruszaj sobie tedy, bo nic nie dostaniesz.

— Dziękuję panu, ja o nic nie proszę — odpowiedziała nieśmiało Florcia.

Po chwili dodała:

— Chciałabym tylko się dowiedzieć, którędy droga do kantoru Dombeya i syna.

Słowa te obudziły zajęcie mieszkańca budki, dotąd bardzo mało zajętego dziewczynką. Spojrzał jéj w oczy i rzekł:

— A cóż cię może obchodzić kantor Dombeya i syna?

— Jabym chciała wiedzieć jak trafić do niego.

Tą razą, człowiek ów zdziwił się tak mocno, że chcąc się w głowę podrapać, w roztargnieniu zrzucił z niéj kapelusz.

— Józefie! zawołał podnosząc go z ziemi — Józefie!

— Jestem, odpowiedział nadbiegając, zawezwany posługacz.

— Gdzie jest ten młody blondyn z kantoru Dombeya który tu niedawno pilnował ładowania ich towarów?

— Przed chwilą odszedł w tamtą stronę, odpowiedział posługacz.

— Poproś no go tutaj.

Józef puścił się biegiem pod arkady, wołając na cały głos za odchodzącym, który niebawem z nim powrócił. Był to młody chłopak, wesołej i bystréj twarzy.

— Jesteś pan w domu Dombeya, wszak prawda? zapytał człowiek z budki.

— To jest, należę do składu jego bióra, panie Clarck, odpowiedział młody chłopak.

— W takim razie, chciéj pan zwrócić uwagę na to dziecko, rzekł Clarck wskazując Florcię.

Młodzieniec poszedł bliżéj ku niéj, usiłując odgadnąć, co mogło być wspólnego pomiędzy nim a tą dziewczynką tak nędznie ubraną. Ale Florcia już nabrała była odwagi słuchając téj rozmowy i czuła, że wszystkie jéj utrapienia miały się ku końcowi. Ośmielona ujmującą powierzchownością młodego chłopca, podbiegła ku niemu gubiąc w pośpiechu jeden ze swych chodaków i chwyciła go żywo za rękę, mówiąc:

— Zabłąkałam się dziś rano i nie mogę trafić do domu.

— Jakto?

— Tak jest, zabłąkałam się, daleko ztąd jakaś kobieta zabrała mi moje ubranie. To co mam, to nie moje, ja się nazywam Florcia Dombey, jest nas dwoje u ojca, ja i braciszek. O mój panie! Zmiłuj się, nie opuszczaj mię, zabierz mię z sobą, zawołała łkając z wybuchem dziecięcéj rozpaczy, długo tłumionéj.

W téj chwili, obszarpany jéj kapelusz osunął się jéj na ramiona, a gdy obfite pukle włosów otoczyły twarz jéj spłakaną, stała się tak ładna, że serce Waltera zadrżało wzruszone do głębi podziwem i litością. Nie kto inny bowiem jak siostrzeniec starego Sola patrzał w téj chwili na Florcię.

Człowiek z budki zdawał się także wielce zdziwiony i twarz jego wypowiadała wyraźnie, że nie przypominał sobie aby coś równie ciekawego zaszło kiedykolwiek na wybrzeżu. Walter podniósł z ziemi stary trzewik i przykląkłszy włożył go Florci na nóżkę, zupełnie tak samo, jak to uczynił książe w znanéj bajce o Kopciuszku, potem przewiesiwszy sobie przez rękę skórkę zajęczą, podał drugą Florci, tak dumny w téj chwili, jak gdyby był nie już Ryszardem Wittingtonem, ale Świętym Jerzym, patronem Anglji, trzymającym smoka pod nogami.

— Panno Dombey, nie płacz tylko, zaklinam ciebie nie płacz, zawołał w uniesieniu pełnem zapału. Co za szczęście żem się tu znalazł! Nie masz już czego płakać teraz. Jesteś tyle bezpieczną jak gdyby cię strzegła cała osada najlepszego wojennego okrętu.

— Ja teraz płaczę tylko z radości, odpowiedziała Florcia, nie mogąc jeszcze łez powstrzymać.

— O Boże! pomyślał Walter, ona płacze z radości i jam tego powodem! Chodź ze mną, panno Dombey, dodał żywo. Ale oto znowu gubisz trzewiki, poczekaj oddam ci moje.

Już się do tego zabierał, ale go Florcia przekonała, że jego obuwie byłoby ze dwa razy na nią za duże.

— To prawda! rzekł — co za trzpiot ze mnie. Ale chodźmy panno Dombey, teraz jesteś pod moją opieką i radbym aby kto sprobował ci uchybić.

To mówiąc, Walter przybrawszy minę wielce zuchwałą, podał z niewysłowioną radością rękę Florci i poszli razem oboje, ani myśląc o wrażeniu jakie mogli sprawiać po drodze.

Mrok już zapadał, mgła się coraz zwiększała a nawet deszcz poczynał padać, ale oni wcale na to nie zważali, całkiem o reszcie świata zapomniawszy. Florcia opowiadała z ożywieniem i prostotą swojego wieku doznane przygody, Walter słuchał jej z taką uwagą jak gdyby zamiast iść błotną ulicą Starego miasta, przechadzali się razem na jakiéj samotnéj wyspie podzwrotnikowéj, w cieniu drzew palmowych.

— Czy jeszcze daleko do domu? spytała wreszcie Florcia swego towarzysza.

— Zatrzymajmy się trochę, odpowiedział Walter i zobaczmy gdzie jesteśmy. Dobrze, — poszliśmy najbliższą drogą. Ale w téj godzinie biuro pana Dombeya już zamknięte i nie ma tam nikogo. Czy by nie dobrze było żebyśmy naprzód poszli do mieszkania mojego wuja? To bardzo ztąd blisko, jabym tam panią zostawił i pojechał powiedzieć w domu co się stało i przywiózłbym ubranie. Myślę że tak będzie najlepiéj, wszakże prawda panno Floro?

— I ja tak myślę, ale nie wiem doprawdy... A jak pan uważa?

Kiedy się tak naradzali, przeszedł szybko obok nich jakiś jegomość, który spojrzawszy zrazu Waltera jak na znajomego, minął go jednak nie [...] witawszy.

— Ależ to Carker — doprawdy że Carker z naszego kantoru, nie dyrektor, ale ten drugi, młodszy — zawołał Walter. Panie Carkerze, dodał żywo — proszę poczekaj no chwilkę.

— A, to ty Walterze, zawołał tamten zawracając się. Nie poznałem cię co prawda, ależ bo w jakiemże towarzystwie...

(d. c. n.)

Dalszy ciąg opisu N. 45.

N. 31 i 32. Rękaw do sukni
rycina 11 i 12 w Ty. Mód N. 44.

N. 33 i 34 i N. 13 i 14 w N. 44 Tyg. Mód. Pudełko do wachlarzy przyozdobione rzeźbą z papierowéj kanwy.

Podłużne pudełko z tektury z płaskiem wiekiem na wstążeczce przyczepionem, wykleja się wewnątrz białym morowym papierem, z wierzchu wiśniowym lub ciemno zielonym aksamitem i przedziela wewnątrz skośnie, odpowiednio do formy wachlarzy. Na aksamicie przyklejone jest wyrzynanie z kanwy papierowéj; sposób téj roboty kilka razy już opisywaliśmy. Polega ona na naklejaniu kilku lub kilkunastu pokładów wyrzynanéj kanwy, które tym sposobem naśladują rzeźbę. Robota to jednak nader zmudna, wielkiéj wprawy i zręczności wymagająca, a przy najmniejszem uchybieniu zupełnie zepsuta, więc nie możemy jéj zbytecznie zalecać.

N. 35 i 36. Litery do znaczenia chustek do nosa.

N. 37. Paletot i kapelusz jesienny. Luźno puszczone paletoty z trochę niedoszytym szwem bocznym, lubo nie są nowością, niemniéj jednak ciągle używane.

Wzór z velours w kolorze czekoladowym, przybrany jest aksamitem i atłasem, tegoż samego koloru. Kołnierzyk, klapki z przodu, riusza, obłożenie wkoło i klapy przy rękawach, są z aksamitu skośno krajanego, ruloniki zaś wypustki i 1 cen. szerokie poprzecznie naszyte patki są z atłasu, jako też guziczki naszyte na rękawie i przy bocznym otworze paletota, tudzież podszewka pod riuszą. Guziczki na patkach są pokryte aksamitem. Kapelusz z wysoką główką jest z czarnéj materji, gładko deseniowem tiulem pokrytéj; nad czołem podgarnirowany riuszą z materji, przybrany piórem, woalką i kwiatem, który zmienia się odpowiednio do koloru sukni. Szarfy z szerokiéj wstążki rypsowéj związują się pod brodą.

N. 38. Marynarski kapelusz z podwiniętem rondem,
dla małéj panienki.

Szary filcowy kapelusz z rondkiem nieco podwiniętem i niebieskim atłasem objętem, przybrany jest niebieską gazą i kolorowem skrzydłem ptaka. Kawałek gazy 100 cen. długi, a 60 cen. szeroki, przecina się w jednym końcu środkiem, wzdłuż na 45 cen., owija luźno około główki, a cały koniec spuszcza z tyłu jako woalik.

N. 39. Kapelusz z prostym rondkiem dla małéj panienki.

Kapelusz z prostym rondkiem z filcu brązowego, ubrany wstążką jasno i ciemno brązową 7 cen. szeroką, gładko z przodu przez główkę idąca ciemna wstążka, ginie z boków pod mięszanemi kokardami i szarfami. Z lewego boku dodana biała kitka z czaplich piórek.

N. 40. Ubranie wieczorowe.

Suknia z wyciętym stanikiem z różowéj materji, ma spódnicę powłóczystą bez garnirunku.

Z boków tiunika podpięta jest kokardami z czarnego aksamitu, takiż pas z tyłu zakończony kokardą i szerokiemi szarfami; z przodu przy staniku, na ramionach i przy włosach aksamitne kokardy i róże.

N. 41. Strojne ubranie z szerokiemi rękawami i chusteczkowym kołnierzem.

Suknia z materji gros-faille ze stanikiem pod szyję. Kołnierz chusteczkowy z muślinu, wstawek i koronki; do rękawów z materji wązkich, do łokcia tylko zachodzących, dodane są rękawki z muślinu i koronki, odpowiednie kołnierzowi. Przy karoczku stanika dodana suta wiązana frendzla. Przy włosach i na ramionach, kokardy z błękitnéj rypsowéj wstążki.

N. 42. Strojne ubranie ze suknią zwierzchnią.

Na sukni z zielonéj materji dodane „Vêtement“ z białéj jedwabnéj grenadiny w pasy. Garnirunek tej zwierzchniéj sukni, stanowi koronka w dwie strony odwrócona i wstawką koronkową przedzielona. Pasek, kokardy i szarfy ze wstążki koloru sukni. Czepeczek z białéj koronki, ubrany zieloną wstążką i białym kwiatem.

WZORY
do aplikacji, haftu płaskiego, atłaskowego, kolorowego i do różnych ściegów fantazyjnych, znajdujące się na dodatku do N. 45.

N. 1. Narożnik i szlak na serwetę na stół. Aplikacja na suknie albo rypsie wełnianym. Opis i zmniejszony rysunek całości podamy w numerach następujących.

N. 2—3. Pojedyncze figury (środkowa i szlak) na lambrekinę do okna; ryc. 5 i 6 w N. 44 Tyg. Aplikacja na flanelce. Materjał: flanelka żółtawo-szara, ciemno brązowe sukno, filozela w dwóch środkowych cieniach brązowych, plecionka jedwabna ciemno brązowa i maisowa, włóczka brązowa.

Podane na ryc. 5 muślinowe firanki przy oknie, ozdobione są aplikacją gwiazd szydełkowych, (na które wzór przedstawia N. 4 w Tygodniku 44), i małych frywolitowych rozetek, naprzemian w odstępach rzucanych. Brzegi firanek zakończa szeroki obrąb. Aplikacja gwiazd jednakowéj wielkości, matowych i przezroczystych na przemian, także bardzo ładnie odbija. Odpowiednim do pięknéj i szerokiéj lambrekiny, garnirunkiem z flanelki i aplikacji brązówego sukna, zakończona jest i poduszka na okno. Dobrane przez nas kolory naśladują malowanie sepią, można jednak do tego samego deseniu dobrać kolory jasne, lub każde odpowiednie obiciu pokoju lub mebli, byle tylko zachować konieczną w ich doborze harmonją. Próbka roboty na ryc. 6 w N. 44 Tyg. podana, objaśnia układ plecionek i aplikacji, oraz wskazuje użyte rodzaje ściegów i cieniowanie kolorów; z pomocą ryc. 5, podług niéj łatwo kierować się w zestawieniu całości.



N. 1. Suknia z długą tuniką. N. 2. Ubranie domowe.

Na załączenie bowiem całego tak dużego deseniu nie pozwala nam brak miejsca. Aplikacje wycina się z ciemnego sukna, i wyszywa dwoma cieniami filozeli; muszki okrągłe robi się wypukło włóczką.

N. 4. Narożnik do zasłony na kanapę lub fotel.

Na tiulu albo muślinie aplikacja z perkalu lub półbatystu przyrobiona ściegiem sznureczkowym lub dzierganym. Jeżeli tiul użyty jest jako tło, w miejscach kratkowanych na deseniu można go zostawić gładko, albo na nim wyszyć kratki. W muślinie tło się wycina i zarabia koronkowemi kratkami.

N. 5. Zastawka do świecy w kształcie chorągwi.
Rycina 19 w N. 44 Tyg. Mód.

Aplikacja wypukła. Materjał: kawałek białego sukna 18 cen. w kwadrat, resztki sukna pąsowego i zielonego w 3 cieniach, skórka kozłowa popielata; kawałek zielonéj materji, 24 cen. w kwadrat, filozele pąsowe, zielone i orzechowe do cieni. Sto cen. zielonego jedwabnego sznura do oszycia. Sznura cieńszego do przysznurowania roboty do drewnianego pręta, 80—90 cent.; 6 zielonych jedwabnych kwastów, 12 kółeczek z drutu srebrnego lub mosiężnego, laseczka fiszbinu i postument drewniany lub brązowy.

Widzimy na ryc. 19, że pręt poprzeczny, do którego przysznurowana jest chorągiew wraz z drzewcem, oddzielone są od postumentu, który dla większéj ciężkości jest wewnątrz nalany ołowiem. Przez takie oddzielne urządzenie, chorągiewka może być użyta jako ręczna zasłona od ognia kominkowego, lub też jako zastawka od świecy; na ten ostatni cel, obsadza ją się w dopasowane wydrążenie postumentu, który może być utoczony z drzewa i na czarno politurowany, albo też odlany z brązu.

Poprzeczny pręt przymocowany do 54 cen. długiego drzewca, jest opatrzony kółkami zarówno jak i do fiszbinu przyszyta chorągiewka, za te kółka do niego przysznurowana. Deseń do wypukłéj aplikacji przedstawia właśnie N. 5 w naturalnéj wielkości. Do takiéj roboty pod aplikacją kwiatów podkłada się w niektórych miejscach wata, liście zaś obdziergują się kordonkiem i oznaczają żyłkami wyszytemi do cieniu. Gałązki trawy otaczające bukiet, jak i kolce pączków i róży, są odrobione kordonkiem orzechowym i zielonym do cieniu, ściegiem cierniowym. Maleńkie zaś kwiateczki na czubkach tych gałązek kordonkiém różowym.

Skrzydełka motyli z sukna brązowego są obdziergane kolorem brązowym w dwóch cieniach, z dodaniem z brzegu obwódki żółtawéj; na korpusie dodane ściegi niebieskie i kamiennego koloru. Około białego tła bukietu są podwójne ramki z sukna zielonego; ramka wewnętrzna jest z ciemniejszego, a zewnętrzna z jaśniejszego odcieniu. Pierwsza ma 1 i pół, druga 2 cen. szerokości. Ramki ze sobą i z tłem, połączone są kordonkiem brązowym w dwóch jaśniejszych odcieniach, ściegiem krzyżowym. Jasno-zielonym kordonkiem wyszyte gałązki i małe podłużne aplikacje z czarnego sukna, zdobią ramki.

Nakoniec między podszewką i wierzch, zaszywa się u góry fiszbin i kółka do sznurowania i oszywa skończoną robotę grubym zielonym jedwabnym sznurem.

N. 6. Inny bukiet kwiatów do wyszycia zasłony od kominka lub zastawki do świecy.

Bukiet ten robi się ściegiem płaskim, sznureczkowym i długim, kordonkami lub włóczką do cieniu. Kwiatki babru 3 cieniami niebieskiego koloru, kłosy cieniem orzechowawo żółtym, a trawę zielonym; pojedyncze ściegi przy kłosach, odrabiają się nitką złotą.

N. 7. Wzór na patarafkę, dno do koszyczka, przykrycie do pudełka lub t. p., z trzema odmiennemi rodzajami szlaku do wyboru. Haft w guście wschodnim, kordonkami na suknie w dwóch cieniach, kolorami mięszanemi lub jednym do cieniu.

N. 8. Medalion w guście chińskim. Aplikacja materji do przyozdobienia pudełek do herbaty, koszyczków papierowych, tek i t. d. Ścieg dziergany i stębnówka.

N. 9. Deseń na lambrekinę.

Na tle sukna brązowego, bukiet fijołków robi się kor-

donkami fijołkowemi i zielonemi do cieniu. Obłożenie z sukna w kolorze ciemniejszym, wyszyte jest jasno brązowym sznureczkiem lub sutaszem jedwabnym.

N. 10. Aplikacja palm, na lambrekiny, lub do przyozdobienia płaszczyków i t. p. Ścieg dziergany, cierniowy i krzyżowy.

N. 11. Medalion haftowany ściegiem płaskim, na skórze, suknie lub rypsie, na cygarnice lub książeczki z notatkami.

N. 12. Liść do lambrekiny do półeczki narożnéj. Ścieg długi łańcuszkowy. Rysunek półeczki w N. 44 rycina 16 i 17.

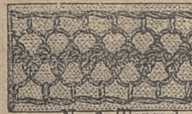
Materjał: Białe i zielone sukno, cienki czarny sznureczek, złota nitka, zielony kordonek i czarny jedwab. Pięknie rzeźbiony z ciemnego drzewa postument półeczki ma jeszcze tę zaletę, że jest na zawiasach urządzony i daje się z łatwością składać i przewozić. Równie ruchomą jest i półeczka, z jednej strony na zawiasach, z drugiéj na haczyki zakładana. Brzeg liści i korzonki gałązek są oznaczone czarnym sznureczkiem, przeszywanym złotą nitką; listki zaś gałązek ściegiem łańcuszkowym, długim, kordonkiem zielonym. Pojedyncze liście lambrekiny dają się naprzemian zielone i białe; forma liścia zielonego podana na arkuszu dodatkowym N. 12, zaś liść biały jest na ryc. 17 w N. 44 Tyg. Mód. Wszystkie u dołu zakończone są żołędziami obrobionemi zielonym jedwabiem. Do riuszy z zielonéj wstążki przyszytéj na tasiemce, przyszywa się liście lambrekiny, trochę jedne na drugie zachodzące, i maleńkiemi gwoździkami przybija do półeczki.



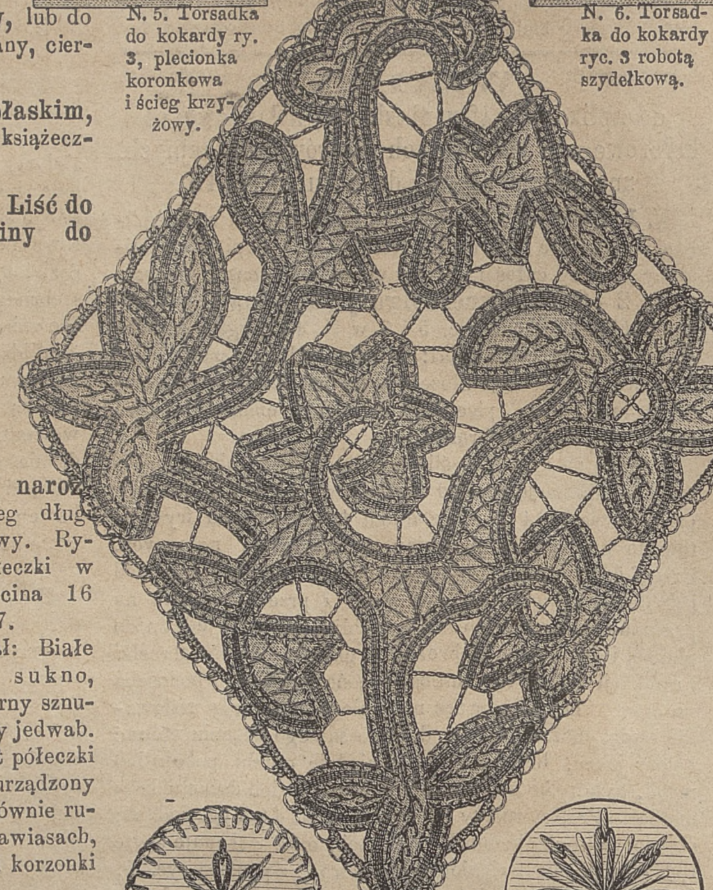
N. 3. Kokarda z koronkowemi końcami. Zobacz ryc. 4—6.



N. 5. Torsadka do kokardy ry. 3, plecionka koronkowa i ścieg krzyżowy.



N. 6. Torsadka do kokardy ryc. 3 robotą szydełkową.



N. [illegible] Koronkowe zakończenie do kokardy ryc. 3.



N. 14. Gwiazdka do serwety ry. 8.



N. 15. Gwiazdka do serwety ryc. 8.



N. 8. Deseń na serwetę sukienną. Wielkość naturalna w dodatku przy N. 44 Tyg. Mód zobacz ryc. 9—15 N. 1. Drobne desenie w N. 46 Tyg. Mód.

N. 13. Deseń do haftu na przykrycie do kielicha.

Na załączonym wzorze haftu do kościoła, podajemy do wyboru, cztery odmienne rodzaje roboty, t. j. haft płaski, sznureczkowy z supełkami w środku, i ściegiem stębnowanym z rzędami ściegu łańcuszkowego. Haft ten może być odrobiony w dwóch kolorach.

N. 14. Cyfra kościelna, która może być jednym lub kilku kolorami odrobiona.

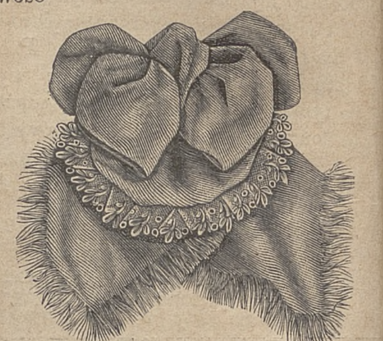
N. 15—19. Pięć małych oddzielnych bukiecików, które służyć mogą do przyozdobienia pudełek i innych tym podobnych przedmiotów.

N. 20—30. Litery pojedyncze i wiązane, do rozmaitego użytku i rozmaitych rodzai ściegów, które odrobić można bawełną białą lub mięszaną, albo kolorowemi jedwabiami.

Opis do N. 46.

N. 1. Ubranie ze suknią zwierzchnią czyli vêtement.

Co do kroju ubranie to mało różni się od podanego w N. 44 Tyg. na ryc. 11—12; główną nowość stanowi aksamit w pasy jedwabne, tegoż co suknia koloru, użyty do garnirunku. Suknię odrobić można zarówno z materji jedwabnéj jak i wełnianéj, w dobrym gatunku. Falbany krajane skośno wązkim, stębnowanym obrąbkiem zakończone, mają przy spódnicy 12, 11 i 10 cen. szerokości, a przy tunice 8 cen.; skośne plisy z aksamitu są równe i 3 cen. szerokie. Krawatka muślinowa zamiast kołnierzyka; na głowie chusteczka kwadratowa z koronki czarnéj, zręcznie zarzucona i z boku kokardą aksamitną przypięta.



N. 7. Kokarda w kształcie motyla do kołnierzyka lub do paska przy sukni.

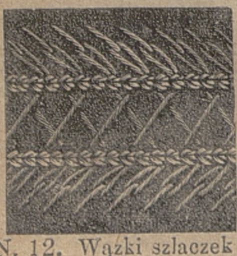
N. 2. Ubranie domowe z fartuszkiem

Jedwabny fartuszek wyszyty sznurem przystrojony plisam aksamitnem i piękną jedwabną frendzlą, dopełnia domowe ubranie i czyni zbyteczną tiunikę i karoczek. Nieco powłóczysta spódnica sukni gładkiéj wełnianéj, zakończona jest szerokim, plisowanym napowietrznym wolantem, z oddzielnym nagłówkiem, przeszytym plisą aksamitną, ciemniejszego koloru. Z takiegoż aksamitu szarfy, patki przy rękawach i ubranie stanika. Szmizetka z czarnego, bufowanego tiulu i koronki, może być noszona pod spód przy kwadratowym wykroju, albo dodana na wierzch przy staniku pod szyję.

N. 3—6. Krawatka czarna z końcami z irlandzkiéj koronki.

N. 3. Podaje krawatkę ukończoną. **N. 4.** Przedstawia w naturalnéj wielkości piękny koniec do krawatki, odrobiony sposobem koronkowym z czarnéj plecionki i kratek z jedwabiu czarnego. **N. 5 i 6.** Są to wzory szlaczków, naszytych na obrębie podwójnéj krepowéj krawatki.

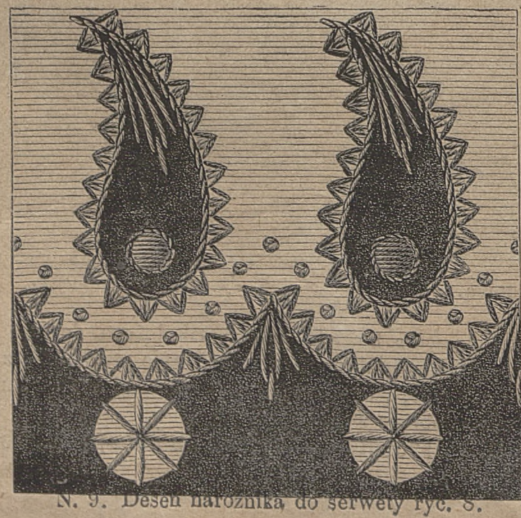
N. 7. Kokarda w kształcie motyla do kołnierzyka albo jako szarfa.



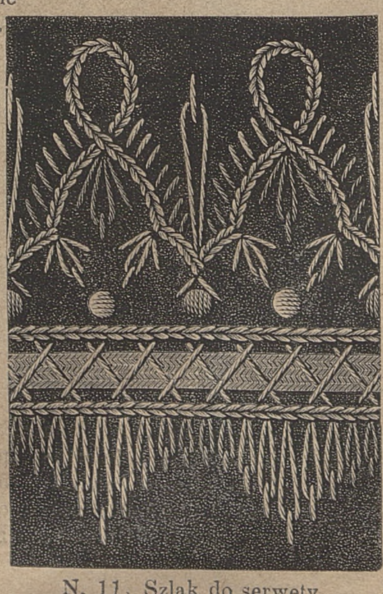
N. 12. Wązki szlaczek do serwety ryc. 8.



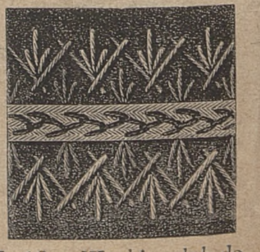
N. 10. Szlak do serwety ryc. 8.



N. 9. Deseń narożnika do serwety ryc. 8.



N. 11. Szlak do serwety ryc. 8.

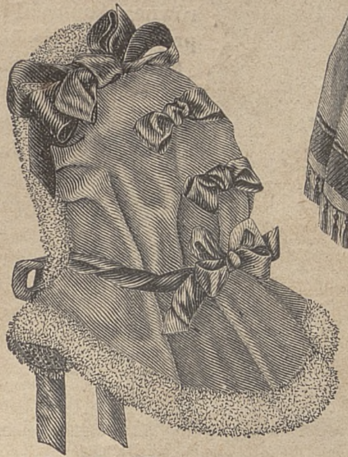


N. 13. Wązki szlak do serwety ryc. 8.

Powyższa kokarda, przeznaczona do kołnierzyka, układa się z crêpe de Chine, na kawałku sztywnego muślinu lub tiulu. Na dwa dolne naksztalt skrzydełek ułożone końce, bierze się skośne kawałki 21 cen. długie, a 12 cen. szerokie, spiczasto podług prostych nitek ścięte i siepaną 2 cen. szeroką frendzelką zakończone. Nad niemi fałduje się w półkole podwójnie złożony skośny kawałek 27 cen. długi, a 10 cen. szeroki, u dołu koronką podgarnirowany. Górne kokardy luźnym węzłem przewiązane, układa się, sposobem na rycinie 7 wskazanym z dwóch skośnych kawałków 13 cen. długich, 9 cen. szerokich. Takaż kokarda odpowiednio powiększona, stanowić może ładną szarfę do sukni.

N. 8—13. Deseń do haftowania serwety na stół.— Aplikacja. Wielkość naturalna N. 1 na arkuszu z krojami, do N. 44 Tyg. Mód.—Drobne deseniki od N. 9 do 13 w N. 46 Tyg. Mód.

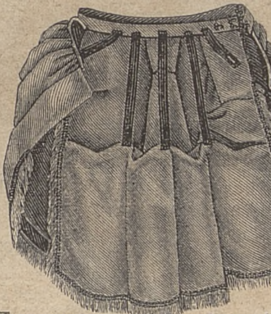
N. 14—15. Dwa kapturki dla dzieci (od 1 do 3 lat.). Krój na dodatku N. XIV Fig. 73—76. Łatwo dające się podług wieku powiększyć lub pomniejszyć kapturki, wykrojone są podług Fig. 73—74. Forma ta chociaż oddawna znana i upowszechniona, utrzymuje się ciągle, jako najdogodniejsza i najpraktyczniejsza dla dzieci.



N. 17. Kapturek kaszmirowy dla dziewczynki. Krój w dodatku N. XIV Fig. 73—76.



N. 23. Tunika do kostiumu „Medicis“ ryc. 21—22.



N. 24. Wewnętrzne urządzenie tuniki do ryciny 23.



N. 16. Kapturek flanelkowy dla dziewczynki.— Krój w dodatku N. XIV Fig. 73—76.

się leciutko watowaną, jedwabną podszewkę. Cokolwiek powiększony w krajaniu brzeg rondka, jako też karczek, oszyte są puszkiem łabędzim. Przystrojenie kapturka stanowią kokardy z 3 cen. szerokiéj wstążki.

N. 16. Paletot z szerokiemi rękawami i kołnierzem kapturkowym. Krój i opis przy ryc. 30 i 31 w N. 47 Tyg. Mód.

N. 17. Długi paletot podany z tyłu. Garnirunek i krój jak przy płaszczyku ryc. 30 w N. 47 Tyg.

N. 18. Wieszadło do kluczy. Aplikacja na suknie lub rypsie. Deseń na czwartą część aplikacji na arkuszu z krojami Fig. 39. Materjał: kawałek rypsu i aksamitu lub sukna, w dwóch cieniach, lub dwóch kolorach; cienka tektura; złoty sznureczek, lub złote perełki i płynna guma do klejenia.

Drewniana owalna ramka, rzeźbiona z ciemnego drzewa, u dołu i u góry opatrzona w mosiężne haczyki do wieszania kluczy, ma 32 cen. długości, 13 cen. wysokości. Robota aplikacyjna zdobiąca i zapełniająca jéj środek, umieszcza się na owalnéj tekturze i przymocowywa do ramek, za pomocą maleńkich sztyfcików.

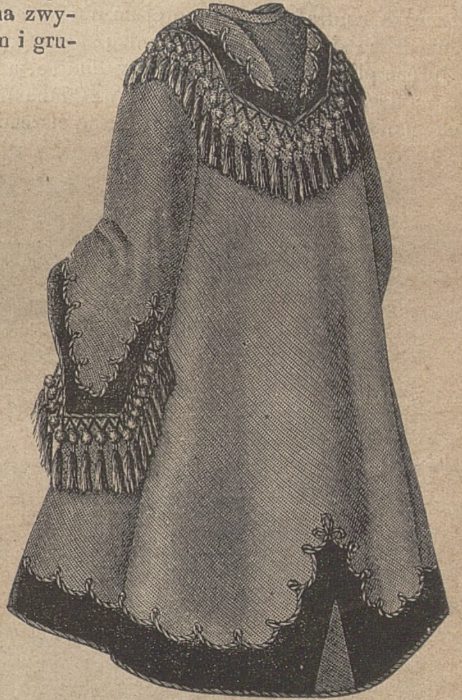
Podług wzoru na Fig. 39 podanego, rysuje się na zwykłym dobrym i grubym papierze, cały deseń aplikacji, wycina starannie i przykleja z lewéj strony do aksamitu lub sukna, gdy zupełnie wyschnie, wycina się materjał podług papierowéj formy, a otrzymaną w ten sposób ażurową aplikację, umieszcza się na rypsie lub suknie dobranym do cieniu, lub w odmiennym odpowiednim kolorze. Brzegi wycięcia oszywa się złotym sznureczkiem lub perełkami; chcąc ażeby perełki układały się równo potrzeba nawlec je na mocną nitkę i dopiero przyczepiać w równych odstępach.



N. 20. Deseczka do zawieszania kluczy z aplikacją rypsu i sukna. Deseń w dodatku Fig. 39.



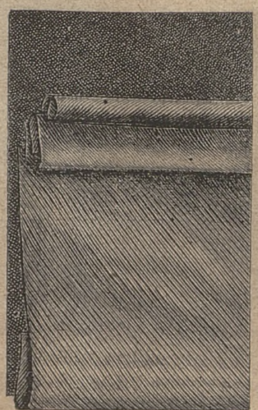
N. 18. Długi paletot z kapturkowym kołnierzem. Krój jak do ryc. 29 i 30 w N. 47 Tyg. Mód.



N. 19. Długi paletot z kapturkowym kołnierzem. Krój jak do ryciny 29 i 30 w N. 47 Tyg. Mód.

N. 14. Kapturek flanelkowy. Podług znaków w kontrafałdy ułożony kapturek, garniruje się koło twarzy riuszą, jedwabnym sutaszem oszytą. W zęby wycięty karczek, przyozdabia się także sutaszem. Na zeszyciu główki z karczkiem, podszywa się od spodu listewka i nawłóczy wstążeczkę do przyciągania; do brzegów listewki przyszyte wstążki, służą do wiązania pod brodą. Podług Fig. 74 i 75 przykrojone 4 liście, i 2 szerokie w ząb wycięte końce, sutaszem oszyte i małemi jedwabnemi kwaścikami zakończone, połączone są węzłem i od przodu na kapturku przypięte.

N. 15. Kapturek z kaszmiru. Pod ten kapturek dodaje

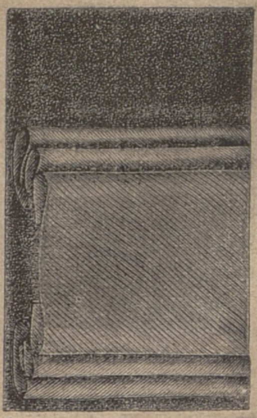


N. 25. Garnirunek do ryc. 21 i 22.



N. 21—22. Kostium „Medicis“ z tiuniką i mantylą. Krój mantylki i tuniki w dodatku N. II Fig. 7—10. Zobacz ryc. 23 i 24.

N. 19 — 23. Kostium „Medicis“ z tiuniką i mantylką. Krój tiuniki i mantyli na dodatku N. II



N. 26. Garnirunek do ryc. 32.

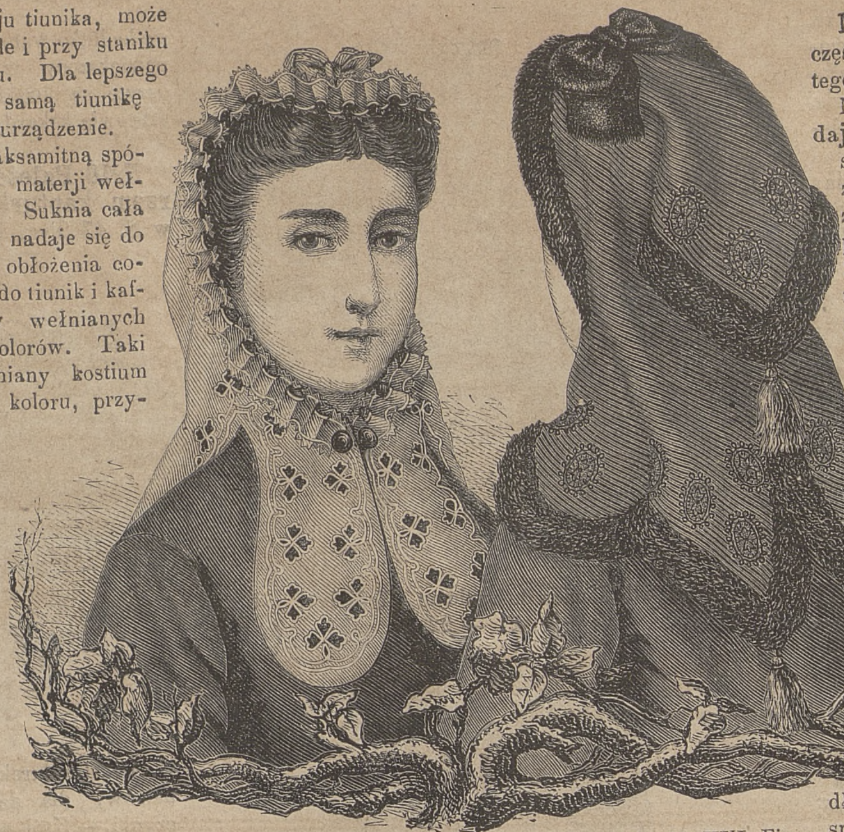
Fig. 7 — 10. Nowego zupełnie rodzaju tiunika, może być noszona nie tylko przy mantylce, ale i przy staniku z baskiną, lub przy luźnym kaftaniczku. Dla lepszego objaśnienia kroju podajemy pod N. 21 samą tiunikę oddzielnie, a pod N. 22 jéj wewnętrzne urządzenie.

Rycina przedstawia gładką czarną aksamitną spódnicę, a tiunikę i mantylkę z pięknéj materji wełnianéj, obłożoną krymskiemi barankami. Suknia cała wełniana popielata barankami obłożona, nadaje się do cienkiéj żałoby. Aksamitne spódnice i obłożenia cokolwiek ciemniejszego odcieniu modne są do tiunik i kaftaników wełnianych wszelkich kolorów. Taki cały wełniany kostium brązowego koloru, przy-

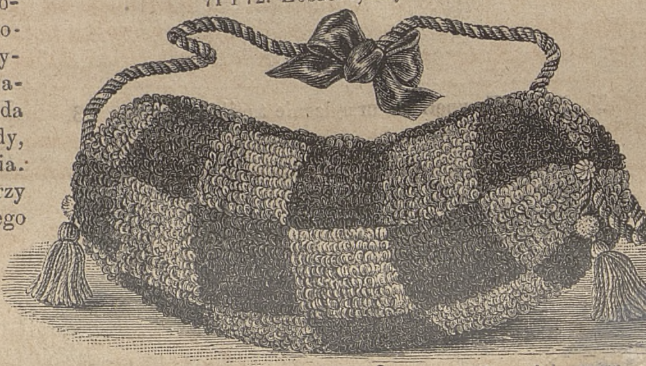


N. 29. Medaljon do kaptura ryc. 28.

strojony ciemniejszym aksamitem, podaje ryc. 20 odrysowany z tyłu. Garnirunek spódnicy stanowi plisowanie 38 cent. szerokie, u dołu stębnowanym obrąbkiem zakończone, przez środek przestębnowane, i u góry zębami z plisy aksamitnéj 8 cen. szerokiéj przeszytę. Jak to widzimy, plisa jest oszyta wypustką z tegoż co suknia materjału, a plisowanie układane w ten sposób, iż pod śpiczasty róg zęba wypada szeroka kontrafałda, od któréj na obie strony idą 3 fałdy, schodzące się do siebie w środku każdego zagłębienia. Oprócz plisy 6 cen. szer., przy tiunice, a 4 i pół przy mantylce, dana jeszcze kręcona wełniana frendzla, tego co suknia koloru z kwaścikami ciemniejszemi.



N. 27 i 28. Kapturek zimowy. Krój w dodatku N. XIII. Fig. 71 i 72. *Zobacz* ryciny 29 i 30.



N. 31. Wałek do oparcia głowy. Robota szydełkowa lub na drutach ściegiem pentelkowym lub pluszowym.

N. 23, podaje inny układ dubeltowéj plisy, któréj część dolna jest z materji ciemniejszéj, a ruloniki górne tego co suknia, jaśniejszego koloru.

Na szeroki fałdowany przedni bryt tiuniki, Fig. 9 podaje formę naturalnéj wielkości; do tylnych prawie prostych brytów, maleńki model przedstawia Fig. 10, z oznaczeniém miary szerokości i długości, jako też założenia fałdów. Bryty tylne zeszywają się środkiem do połowy i podnoszą w buffy na tasiemkach, jak to N. 22 wskazuje. W górze każda buffa układa się w dwie równe kontrafałdy, do 25 cen. objętości, poczem przyszywają się do paska. Na środku każdego bryta, w równéj linji z początkiem roztwarcia zakłada się jedna kontrafałda tak głęboka, iż pozostaje z każdego bryta, tylko 32 cen. szerokości. Od tych środkowych kontrafałdów i od początku zeszycia brytów dane są do pasa tasiemki 27 cen. długie. Boki i środek tylnéj tiuniki, zaszywają się od spodu we dwie fałdy, ażeby tworzyły podwójny puf. Skośno ścięte boki przedniego bryta fałdują się tak od danéj na fig. 9 gwiazdki, iż fałdy zajmują 8 cen., oszywają w skośną listewkę, do któréj w środku przyszywa się guzik, a do pasa w miejscu na ryc. 22 wskazanym, przyszywa się tasiemki 10 cen. długie, w dziurki zaopatrzone, służące do przypięcia pod bryty tylne, tegoż przodu. Forma mantylki nie potrzebuje opisu, gdyż podana jest w naturalnéj wielkości i wskazana oprócz tego w całości na Fig. 7, gdzie zarazem oznaczone jest kropkami, w jaki sposób podług tejże formy przykroić można pelerynę okrągłą.



N. 30. Medaljon do ozdoby kaptura ryc. 28.

Dalszy ciąg opisu N. 46 nastąpi w dodatku N. 47 Tyg. Mód.



N. 32. Paletot aksamitny garnirowany plisami i koronką. Krój w dodatku N. VII. Fig. 40 i 41. Zobacz rycinę 26.



N. 33. Paletot z obłożeniem futrzanem wyszyty sznureczkiem. Krój w dodatku N. IX Fig. 48—56. Zobacz rycinę 26 w N. 47 Tyg. Mód



Tygodnik Mód

w Warszawie 1871 r.

Dodatek do N. 46 i 47.

Opis krojów i znaków.

N. I. Długie palto luźne z peleryną i kapturkiem. Rycina 29—30 i 18 i 19 w. N. 46 Tyg. Mód.

Miara połowy objętości: w piersiach 18 cent., w plecach 17 cent.

Fig 1. Przód (A, B, C, D, F)
Fig. 1a. Zmniejszony rysunek przodu.
Fig. 2. Połowa pleców (A, B, C, E, L)
Fig. 2. Zmniejszony rysunek połowy pleców.
Fig. 3. Połowa stojącego kołnierza (D, E)
Fig. 4. Rękaw (F, G, H, I K)
Fig. 4a. Zmniejszony rysunek rękawa.
Fig. 5. Połowa peleryny (D, E)
Fig. 5a. Zmniejszony rysunek peleryny.
Fig. 6. Połowa kapturkowego kołnierza (D, L)

N. II. Mantyla i tiunika do kostiumu „Medicis“. Rycina 21—25 w N. 46 Tyg. Mód.

Fig. 7A. Przednia połowa przeciętej przedniej części mantyli (M, N, O) Linja przecięcia
Fig. 7B. Tylna część przodu mantyli M, N, O, • 1 i × 1 do • 2 i × 2) Linja przecięcia
Fig. 8. Połowa pleców mantyli (M, O, P)
Fig. 7a. Zmniejszony rysunek złączonych wszystkich części mantyli, wraz z linjami oznaczającemi krój peleryny okrągłej i z końcami.
Fig. 9. Połowa przedniego bryta tiuniki (Q, ⁜) jedno założenie
Fig. 9a. Zmniejszony rysunek połowy przedniego bryta tiuniki.
Fig. 10. Sposób krajania tylnego bryta (Q)

N. III. Luźny kaftanik oszyty sznurem i riuszą, dla Panienki od lat 12 do 16. Rycina 27—28 w N. 47 Tyg. Mód.

Miara objętości połowy: w piersiach 16 cent., plecy 16 cent.

Fig. 11. Przód (R, S, T, U, V)
Fig. 12. Połowa pleców (R, S, T, U)
Fig. 13. Rękaw (V, W)
Fig. 13a. Połowa arabeski wyszytej sznurem na rękawie.

N. IV. Stanik z baskiną i tiunika do kostiumu „Rozalja“. Rycina 15—20 w N. 47 Tyg. Mód.

Połowa objętości w górnej części stanika 48 cent.

Fig. 14. Przód (a, b, f, g, h)
Fig. 14a. Zmniejszony rysunek przodu.
Fig. 15. Boczek (a, b, c, d, e)
Fig. 15a. Zmniejszony rysunek boczka.
Fig. 16. Połowa pleców (c, d, e, f, g, • 3 i × 3 aż do • 4 i × 4)
Fig. 16a. Zmniejszony rysunek połowy pleców.
Fig. 17. Rękaw (h, i)
Fig. 17a. Zmniejszony rysunek rękawa.
Fig. 18. Połowa przedniego bryta tiuniki (k, l)
Fig. 18a. Zmniejszony rysunek przedniego bryta tiuniki.
Fig. 19. Boczny bryt tiuniki (k, l, m, n, • 5 i × 5 aż do • 7 i × 7)
Fig. 19a. Zmniejszony rysunek bocznego bryta.
Fig. 20. Sposób krajania tylnego bryta tiuniki (m, n)

N. V. Luźny paltot dla chłopczyka od lat 3—7. Rycina 31 w N. 47 Tyg. Mód.

Z oznaczeniem linji do zmniejszenia formy.

Fig. 21. Przód (o, p, q, r, s, u)
Fig. 22. Połowa pleców (o, p, q, r, t)
Fig. 23. Połowa kołnierza (s, t)
Fig. 24. Rękaw (u, v, w, x, y)
Fig. 25. Połowa wyłożenia do rękawa (v)

N. VI. Paltot z kapturkiem i peleryną dla dzieci od lat 3—6. Rycina 33—36 w N. 47 Tyg. Mód.

Fig. 26. Przód (I, II, III, IV, V, IX)
Fig. 27. Połowa pleców (z oznaczeniem przecięcia i zaszycia fałd) (I, II, III, IV, X, ✱, • 8 i × 8 — • 9 i × 9)
Fig. 28. Rękaw (V, VI, VII, VIII, +)
Fig. 29. Garnirunek rękawa (+)
Fig. 30. Połowa kapturka (IX, X)
Fig. 31. Połowa peleryny, z linjami zmniejszającemi (IX, X)

Garnirunek do kaftanika. Haft z podłożeniem aksamitu.

Fig. 32. Szlak z narożnikami.
Fig. 32a. Liście, fig. 32b. Zęby do kołnierza

Przyozdobienie kaftanika.

Fig. 33. Szlak. Aplikacja aksamitu.
Fig. 34. Narożnik wyszyty sznurem.

Fig. 35—38. Wyszycie sznurem.

Wieszadło do kluczy.

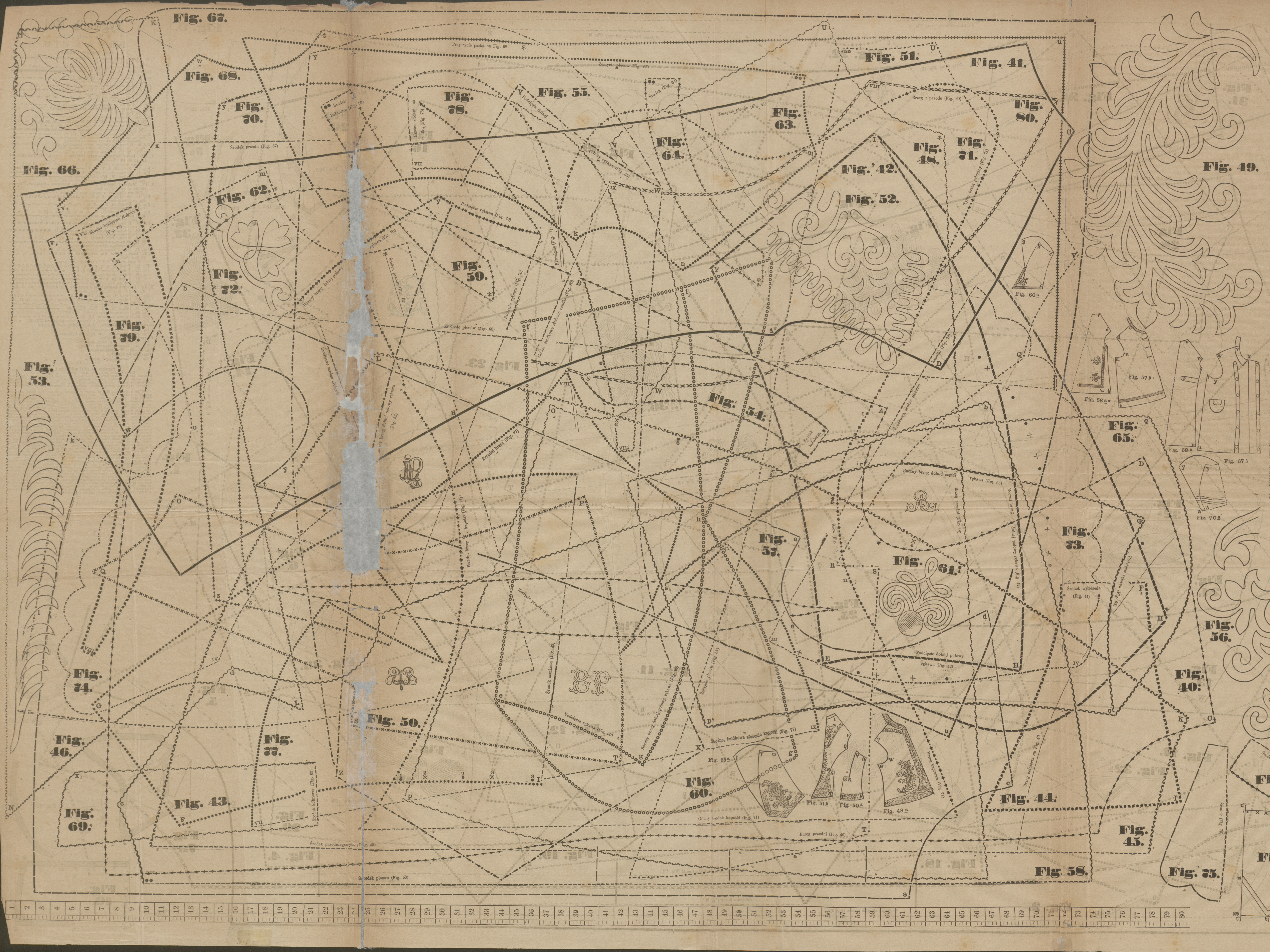
Fig. 39. Czwarta część deseniu.

Serweta na stół; aplikacja i haft.

Rycina 8—15 w. Nr. 46 Tyg. Mód: Deseń Nr. 1 w dodatku do Nr. 44.

Materjał: Kawałek sukna czarnego 140—150 cent. w kwadrat na tło; do aplikacyi kawałki sukna pąsowego i białego, plecionka pąsowa wełniana $^2/_3$ cent. szeroka, sutasz jedwabny perełkowy, zielony i orzechowy, sutasz gładki pąsowy; kordonki w kolorach: czarnym, niebieskim, pąsowym, białym, żółtym, maisowym i cieniowane zielone i orzechowe do cieniu.

W Nr. 44 Tygodnika Mód podaliśmy na arkuszu z krojami pod ryciną 1 rysunek serwety w naturalnej wielkości, dziś podajemy opisy użytych kolorów i materjałów. Główną figurę aplikacji, stanowi rozeta z białego sukna, z palmowym wykrojem brzegów, przymocowana w ząbki jedwabiem żółtym i orzechowym. Wypukło haftowany w koło niej na tle czarnym rzucik, daje się naprzemian kordonkami koloru pąsowego, maisowego, i niebieskiego. Luźne ściegi są białe a supełki pąsowe. Do kólistego brzegu rozety, przytykają okrągłe aplikacje z pąsowego sukna, przyozdobione gwiazdkami z kordonku zielonego i białego. Na środku rozety umieszcza się koło i pięć liści z sukna pąsowego, przydziergane kordonkiem żółtym, a z brzegów przymocowane ściegiem sznureczkowym kolorem orzechowym. Gwiazdki na liściach dają się naprzemian niebieskie i białe z krzyżykami żółtemi w środku resztę wyszycia kolorem czarnym. Narożnik z zachodzących na siebie liści, jest z sukna pąsowego, przydziergany kordonkiem żółtym, przyozdobiony gałązkami zielonemi i punktami czarnemi, niebieskiemi i białemi. Dolne w kształcie liści dzierganie, odrabia się mięszaniną wszystkich kolorów. Połączenie dolnych figur dopełnia sutasz perełkowy zielony, ułożony w zęby i przyozdobiony żółtemi supełkami; tymże sutaszem otacza się biała rozeta, i odrabiają się arabeskowe figury, przyozdobione listkami ściegu łańcuszkowego, w kolorach pąsowym, żółtym i maisowym. Małe pąsowe aplikacje w środku arabesek, odzierganc są kolorem żółtym z dodaniem supełków czarnych i ściegów pojedynczych białych. Dopełnienie narożników stanowią gałązki cierniowe białe i pąsowe, pośród wązkiego szlaczku z sutaszu orzechowego. Wzór do tego wązkiego szlaczku podaje rycina 12 i nieco odmienny, do tegoż celu przeznaczony rycina 13. Szlak szerszy przedstawiony na rycinie 10 układa się z pąsowej plecionki, przyszytej kordonkiem czarnym, ściegiem krzyżowanym, i przyozdobionej w górze ściegami żółtemi i białemi. Zęby z pąsowego sutaszu przyozdobione są w głębi ściegami zielonemi, białemi i pąsowemi. Sutasz perełkowy orzechowy i listki odrobione długim ściegiem łańcuszkowym, mięszanemi kolorami, zakończają szlak, wzdłuż którego środkiem przechodzi wyszycie kordonkiem zielonym cieniowanym. Pod ryciną 11 podajemy inny szerszy szlak, który w miejsce poprzedzającego może być użyty. Odpowiednia narożnikom mniejsza rozeta, przedzielająca szlak w środku, daje się z sukna pąsowego przydzierganego kordonkiem żółtym; z brzegu dodane kółka w kształcie guzików, sąz aplikacji sukna białego. Małe pojedyncze kółka przy narożnikach są także białe, stopniowanej wielkości. Rycina 14 podaje najmniejsze z nich w wielkości naturalnej. Rycina 15 przedstawia środkową figurę kółka największego, mającego 4 cent. średnicy. Pozostałe między niemi, dają się stopniowanej wielkości.



Tygodnik Mód

w Warszawie 1871 r.

Dodatek do N. 46 i 47.

Opis krojów i znaków.

N. VII. Paltot rozcinany z kapturkowym kołnierzem. Rycina 24 i 25 w. N. 47 Tyg. Mód.

Miara połowy objętości. Szerokość w piersiach 19 cent., w plecach 15 cent.

Fig. 40. Przód (A, B, C, D, ✡)
Fig. 41. Połowa pleców (A, B, C, D)
Rękaw podług fig. 17.

N. VIII. Rękaw i tiunika do kostiumu „Brytanja“. Rycina 19—22 w N. 47 Tyg. Mód.

Fig. 42. Rękaw (E, F, H, I)
Fig. 43. Połowa mankieta (F, G, I, • 1 i ✕ 1 — • 3 i ✕ 3)
Fig. 44. Połowa ranwersu do rękawa F, I)
Fig. 42a. Zmniejszony rysunek całego rękawa.
Fig. 45. Połowa przedniego bryta tiuniki (K, L, • 4 i ✕ 4 aż do • 6 i ✕ 6)
Fig. 45a. Zmniejszony rysunek połowy przodu tiuniki.
Fig. 46. Boczny bryt tiuniki (K, L, M, N)
Fig. 46a. Zmniejszony rysunek bocznego bryta tiuniki.
Fig. 47. Sposób krajania tylnych brytów tiuniki (M, N, ułożenie fałdów)

N. IX. Paltot nieco wcinany, obłożony futrem. Rycina 26 i 33 w N. 46 i 47 Tyg. Mód.

Miara połowy objętości: w piersiach 18 cent., w plecach 16 cent. szerokości.

Fig. 48. Przód (O, P, U, V, W)
Fig. 48a. Zmniejszony rysunek przodu.
Fig. 49. Wyszycie sznurem do fig. 48.
Fig. 50. Boczek (O, P, Q, R, S, T)
Fig. 50a. Zmniejszony rysunek boczka.
Fig. 51. Połowa pleców (Q, R, S, T, U, V)
Fig. 51a. Zmniejszony rysunek połowy pleców.
Fig. 52 i 53. Wyszycie sznurem do pleców.
Fig. 54. Połowa stojącego kołnierza (✻, ⁚)
Fig. 55. Rękaw (W, X, Y, Z)
Fig. 55a. Zmniejszony rysunek rękawa.
Fig. 56. Wyszycie sznurem do rękawa.

N. X. Paltot dla panienki od lat 7—12. Rycina 39—40 w N. 47 Tyg. Mód.

Miara połowy szerokości w piersiach 16 cent., połowa pleców 13 cent.

Fig. 57. Przód (a, b, c, d, e, ✻)
Fig. 57a. Zmniejszony rysunek przodu.
Fig. 58. Połowa pleców (a, b, c, d, ⁚)
Fig. 58a. Zmniejszony rysunek połowy pleców.
Fig. 59. Połowa stojącego kołnierza (✻, ⁚)
Fig. 60. Rękaw (e, f, g, h, i)
Fig. 60a. Zmniejszony rysunek rękawa.
Fig. 61. Przyozdobienie rękawa.

N. XI. Kaftanik nieco wcinany, przyozdobiony haftem sznureczkowym, dla dziewczynki od lat 7—10. Rycina 41 i 42 w N. 47 Tyg. Mód.

Miara połowy szerokości z przodu 16 cent., w plecach 13 cent.

Fig. 62. Przód (k, l, m, n, o, ✻)
Fig. 63. Połowa pleców (k, l, m, n, ⁚, +)
Fig. 64. Połowa stojącego kołnierza (✻, ⁚)
Fig. 65. Rękaw (o, p, q, r, s)
Fig. 66. Deseń wyszycia sznureczkowego z narożnikiem

N. XII. Paltot dla chłopca od lat 9—12. Rycina 37 i 38 w N. 47 Tyg. Mód.

Miara połowy szerokości z przodu 17 cent., w plecach 16 cent.

Fig. 67. Przód (t, u, v, w, x, y)
Fig. 67a. Zmniejszony rysunek przodu.
Fig. 68. Połowa pleców (t, u, v, w, ⁚, ✻, +)
Fig. 68a. Zmniejszony rysunek połowy pleców.
Fig. 69. Połowa kołnierza (⁚, x)
Fig. 70. Rękaw (y, z)
Fig. 70a. Zmniejszony rysunek rękawa.

N. XIII. Kaptur. Rycina 27 i 28 w N. 46 Tyg. Mód.

Fig. 71. Połowa kaptura (I, II)
Fig. 72. Wyszycie z obłożeniem aksamitu.

N. XIV. Kapotka dziecinna. Rycina 16 i 17 w N. 46 Tyg. Mód.

Fig. 73. Połowa główki (III, IV, fałdy)
Fig. 74. Połowa rondka (III, IV, fałdy)
Fig. 75. Połowa szarfy do wiązania
Fig. 76. Połowa szarfy do ubrania.

N. XV. Kapotkowy kapelusz. Rycina 13 i 14 w N. 47 Tyg. Mód.

Fig. 77. Połowa główki (V, VI, VII, VIII, IX, fałdy)
Fig. 78. Połowa karczka (VII, VIII) do Ryciny 28.
Fig. 79. Połowa karczka (VII, VIII) do Ryciny 29.
Fig. 80. Połowa rondka (VIII, IX)

Trzy wzory na poduszki.

Robota ściegiem krzyżowym.

Ryciny 1—6 w N. 47 przedstawiają w zmniejszeniu całkowite wyobrażenie dwóch najmodniejszych i najświeższego rodzaju poduszek, odrobionych sposobem gobelinowym z domięszaniem różnych innych rodzai ściegów. Brak miejsca niepozwala nam podać całkowitego deseniu w naturalnej wielkości. Te jednak z czytelniczek naszych, które równie dobrze władają ołówkiem jak igłą, będą mogły podług ryciny 1 i 3 same deseń powiększony odrobić. Niechcące podejmować tego trudu, znajdą w sklepach gotowe desenie, lub nawet zaczęte roboty.

N. 1 i 2. Medaljon i kwiaty. Haft na poduszkę.

Tak kwiaty jak arabeski robione są włóczką angielską z dodaniem jako cień najjaśniejszy filozeli. Gładki brzeg medaljonu i arabeski w koło, są orzechowe w czterech cieniach, robione zwykłym sposobem krzyżowym. Środkowy bukiet z kwiatów polnych o żywych barwach, *petit point*, składa się z ciemno i jasno pąsowych maków, gałązek żółtego jasgru, różowych i białych stokrotek. Tło przy nim zarabia się cienkim białym kordonkowym jedwabiem, ściegiem przezroczystym krzyżowym, który odrabia się wskos, tak iż między krzyżykami pozostają cztery nitki wolne. Inny przezroczysty ścieg do zarobienia tła przedstawia próbka N. 2. Na gęstem tle krzyżowym robionem filozelą koloru zielono-jabłkowego, wije się gierlanda z zielonych liści, białych i lila fijołków, otaczająca arabeskę. Resztę gładkiego tła z brzegu zarabia się kolorem ciemno zielonym.

N. 3 i 4. Deseń na haft do poduszki na kanapę. Kwiaty i narożniki.

Tak bukiet jak i narożniki robią się ściegiem pół krzyżowym (to jest danym tylko w jedną stronę, przez 4 nitki w kwadrat) na bardzo cienkiej kanwie, włóczką angielską. Piękność roboty podnosi tło białe kordonkowe odrobione ściegiem długim krzyżowym (to jest przez dwie nitki wszerz a cztery wzdłuż), objęte z brzegów tłem ciemno niebieskiem, robionem filozelą, ściegiem krzyżowym zwyczajnym. N. 4 podaje inne tło koronkowe do tego deseniu. Na tło do narożników dobrane są cztery cienie koloru orzechowego. Kwiaty środkowego bukietu są: jasno pąsowe, ciemno różowe i żółte, z liściami jasno zielonemi, *vert-anglais*, żółtawemi i czerwonawo orzechowemi.

N. 5 i 6. Deseń na poduszkę. Arabeski w guście tureckim.

N. 6 przedstawia czwartą część deseniu wraz z oznaczeniem kolorów. Zaś N. 5 całą poduszkę podaje w zmniejszeniu. Brzegi w koło zarobione są różno kolorowemi rzędami ściegów podłużnych krzyżowych, dobrze harmonizującemi z całością.

